ROK I. GRUDZIEŃ. TOM VI.





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

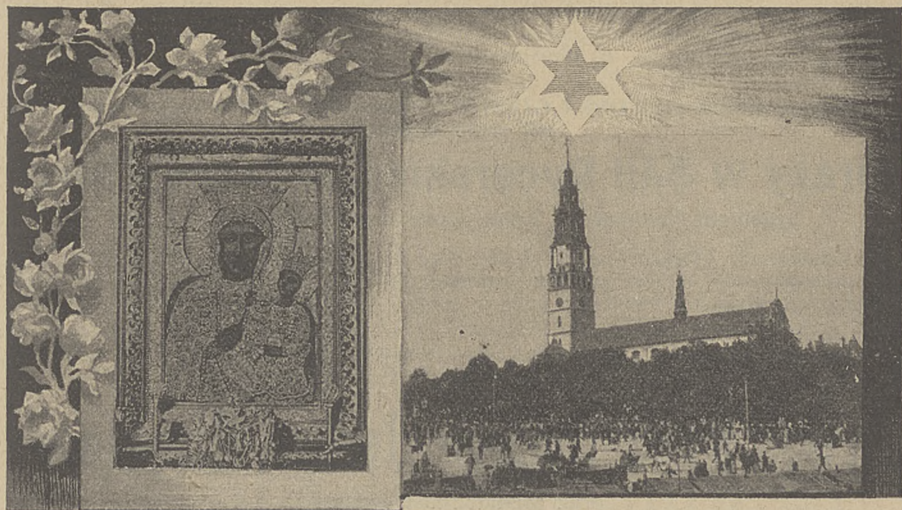
ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi i Administracyi: Częstochowa pod Jasną-Górą (dom Proszowskiego)
Skład w Warszawie: Ulica Żórawia Nr. 18.

Prospekt na Rok 1902.



„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

(12 dużych tomów rocznie)

Pod redakcyą Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA

Zaledwie kilka tomów ukazało się „Dzwonka Częstochowskiego," pisma poświęconego czci Maryi, Królowej Niebios, a już redakcya może się podzielić z czytelnikami radosną wiadomością, że wydawnictwu temu ***Jego Ekscelencya Ksiądz Biskup Kujawsko-Kaliski*** udzielić raczył ***Pasterskiego Błogosławieństwa.*** Ten wielki zaszczyt i dobrodziejstwo duchowe spływa nietylko na wydawnictwo, jego redaktora i współpracowników, lecz i na czytelników „Dzwonka Częstochowskiego." Niechże czciciel Maryi — „Dzwonek Częstochowski," niesie tak pod każdą strzechę ubogą, jak pod dach bogacza słowo pokoju, miłości Boga i bliźniego, niech daje ukojenie, moc ducha i uczy czcić i wielbić Opiekunkę Naszą, Królowę Niebios.

„Dzwonek Częstochowski” w roku 1902

Zawierać będzie:

1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne z obszernem uwzględnieniem spraw kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Illustracye.

Dla prenumeratorów DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO redakcya ofiaruje po zniżonej cenie książkę

Obrazy w Sali Rycerskiej na Jasnej Górze

ozdobione kolorowemi, artystycznie wykonanemi illustracyami

Cena katalogowa „Obrazów w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze“ za egzemplarz ozdobnie oprawny rub. 1 kop. 50, dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego,” żądających wprost z redakcyi, tylko 1 rubla i kop. 20 na przesyłkę pocztową.

W roku bieżącym „Dzwonek Częstochowski” między innemi drukować będzie obszernie opracowany, z artystycznie wykonanemi illustracyami

Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa

oraz pięknie illustrowane

Dzieje Klasztoru Jasnogórskiego

Dla prenumeratorów całorocznych wspaniałe

Premium na rok 1902

Obraz artystycznie wykonany kolorami przedstawiający:

Ołtarz z CUDOWNYM OBRAZEM w kaplicy MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ na Jasnej Górze.

Piękne to premium otrzymają wszyscy całoroczni prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego,” jedynie za dopłatą **50** kopiejek na przesyłkę pocztową.

Prenumerata **„Dzwonka Częstochowskiego’** wynosi: w Częstochowie rocznie rub. 3, półrocznie rub. 1.50, kwartalnie kop. 75. Z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 12, półrocznie koron 6.—W Niemczech: rocznie marek 10, półrocznie marek 5. Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie str. rub. 8, na czwartej części stronicy rub: 5 i za wiersz 75 kop.

Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają **5** kop. kwartalnie

---

Listy należy adresować:

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną Górą w Częstochowie.

Redaktor i Wydawca: **Ks. Józef Adamczyk.**

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI



Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.



ROK I. GRUDZIEŃ. TOM VI.

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi i Administracyi: pod Jasną-Górą (dom Proszowskiego)

Skład w Warszawie: Ulica Żórawia Nr. 18.

1901

Дозволено цензурою,

Варшава, 29 ноября 1901 г.

Treść tomu VI.

ILLUSTRACYE:



BOŻE NARODZENIE.

Chór Cherubinów.

O, Boże nasz! gdzie wielkość Twa?
Gdzie podział się Twój cudny blask?
Na Twem obliczu gruba mgła,
Miasto światłości mroczny brzask:
W nędznej widzimy Cię dziecinie.

Bóg.

Ma wielkość jednak nie przeminie.
Przyćmiłem wprawdzie światłość Bóstwa,
Ograniczyłem nieskończoną
Wielkość moją i z przymiotów mnóstwa
Nic prócz miłości nie ujrzycie:
Tylko tę jedną, niezmienioną,
Wprowadzę w ziemskie moje życie...
Lecz Jam wasz Bóg, Jam Stwórca wasz i Pan,
Ja chcę być przez was, jako taki znan.

Chór Cherubinów.

O, Panie wielki! Nieskończony Boże!
Któż Twoje sprawy wyrozumieć może!
Toż Ty największej dowodzisz potęgi
Tem, żeś ją mocen w zwarte zamkąć kręgi!
O, Tyś nie mały, o, Panie! Tyś wielki!
Boś morzu Bóstwa dał wygląd kropelki,
Boś nadał Bóstwu swemu ludzkie ciało,
Bo Słowo Twoje tem ciałem się stało,

Boś nieskończoność ujął w ciasne ramy...
Oto na twarze przed Tobą padamy,
My Twoje wielkie, najprzedniejsze twory...
Lecz nas za mało: złość nas przerzedziła...

Do szatanów:

Hej! wy przeklęte, piekielne potwory,
Wy, których pycha w przepaście rzuciła,
Ugnijcie karku hardego przed Panem!
Ach, patrzcie, jaki nasz Stwórca pokorny:
Leży w żłóbeczku, przyodziany sianem,
Bez chwały, bez władzy, dwór ma niewytworny;
Pieczarę zimną zalegają cienie,
Bydlątka tworzą Jego otoczenie,
I pusto, głucho wokoło, jak w grobie...

Szatani.

Nie dla nas, nie! się wcielił On!
Nie dla nas rzucił Niebios tron!
On chce odwrócić od nas ludzkie dusze:
Tem nas przyprawi o większe katusze!
My mu wypowiemy wojnę,
My wczasy jego spokojne
Na trud zamienim, pot i łzy!
My skruszym go, uśmiercim... My,
Których tak pokarał ciężko,
My musim z walki wyjść zwycięzko!
Za złoto, godności, honory,
Za piękność ciała kupimy nań wrogów:
Oni mu każą stąpać wpośród głogów,
Dręczyć go będą, niby zmory!
Zemścimy się nad nim, wytoczym zeń krew:
Potędze piekieł niech nie działa wbrew!

Chór Cherubinów.

O, Boskie Dziecię! Słyszysz, jak Ci grożą,
Tobie, Synowi Ojca Przedwiecznego?...
Jeszcześ maleńkie, a już, już się srożą
Przeciwko Tobie burze, choć nic złego
Nie uczyniłeś nigdy ni niebu, ni światu.
My Cię nie puścim z Nieba: szkoda kwiatu,

Który rozkoszą jest naszą i Świętych;
My Cię nie puścim! Nie chodź do przeklętych!

Bóg.

Muszę iść na świat, iść muszę do ludzi,
Bo któż ich ze snu niedbalstwa obudzi?
Kto ich nauczy zbierać skarby drogie,
Zwalczać i kruszyć piekła mocy wrogie,
Kto ich nauczy być małymi sobie?
Kto ich nauczy szukać szczęścia w grobie?
Kto w nich zapali miłości żar?
Kto im wysłuży zbawienia dar?...
Nikt, jedno Ja, któremu imię *Miłość!*...

Ks. St. Gruchalski.



Zbawiciel się narodził!

„Roku od stworzenia świata, kiedy Bóg na początku stworzył niebo i ziemię, 5199; od potopu — 2957; od urodzenia Abrahama — 2015; od Mojżesza i od wyjścia narodu izraelskiego z Egiptu — 1510; od namaszczenia Dawida na króla — 1032; w sześćdziesiątym piątym tygodniu, według proroctwa Dawidowego; w 194 Olimpiadzie; roku od założenia Rzymu 752; w czterdziestym drugim panowania Oktawiana Augusta, cesarza rzymskiego, gdy świat cały zażywał stałego spokoju: Bóg Przedwieczny i Syn Ojca Przedwiecznego, chcąc błogosławionem przyjściem Swojem uświęcić świat, zostawszy poczęty z Ducha Świętego, gdy upłynęło dziewięć miesięcy od tego poczęcia, rodzi się w Betleemie, mieście judzkiem, z Przenajświętszej Maryi Panny."

Temi słowy Kościół nasz święty ogłasza w Martyrologium rzymskiem, to jest w spisie, na każdy dzień roku kościelnego Świętych i uroczystości, największą i najradośniejszą dla całego świata chrześcijańskiego pamiątkę spłynięcia z Nieba łaski Odkupienia, dowodu nieskończonej miłości dla ludzi Boga Ojca, który zesłał Syna Swego dla naszego zbawienia. Zdarzenie to, tak drogie sercom naszym, zawsze winniśmy mieć przed oczyma, rozpamiętywać je jak najczęściej, aby wzmacniać w sobie miłość i cześć dla Stwórcy, dla Kościoła Jego; umacniać się w wierze, w posłuszeństwie religijnem; słowem — abyśmy się stali godnymi obietnic Pana Chrystusowych. Pragniemy dopomódz przyjaciołom „Dzwonka Częstochowskiego" w tym obowiązku, dlatego, przy zbliżającej się rocznicy Narodzenia Pańskiego, przypomnimy im szczegóły wielkiego zdarzenia, według tego, jak zapisane zostały w Ewangeliach Świętych, oraz według objaśnień słynnych pisarzy duchownych, zaleconych przez kościół katolicki, do których należą: Św. Bonawentura, Ojciec Didon, Ojciec Prokop i inni.

* * *

Jest w Galilei mieścina ubożuchna, zwana Nazaret, co znaczy kwiat, albo latorośl. Jadąc od Jerozolimy, z ostatnich szczytów Samaryi, widzisz jakby punkt biały, miasteczko położone na stromych wyżynach, górujących nad doliną Iizreel. To właśnie Nazaret. Szare jego, kwadratowe, o płaskim dachu domy piętrzą się na wschodnim stoku dwu wzgórz, przedzielonych parowem, którym ciągnie się w górę główna ulica. Tam są sadzawki do obmywania, warstaty, sklepy, targ, synagoga. We wschodniej części miasta zagłębia się dolina, w której tryska źródło, dziś zwane zdrojem Maryi. Opodal, za domami, dolina i parów schodzą się, tworząc małą równinę, okrytą o wiośnie murawą, latem stanowiącą boisko, na którem nazaretanie młócą, a raczej wydeptują, przepędzając po nim woły, zboże, jęczmień, oraz przesiewają ziarno na wietrze wieczornym. Drzewa liwne, migdałowe, figowe, granatowe, cytrynowe, kaktusy z liśćmi zawsze zielonymi i ciemne cyprysy, wznoszące się tu i owdzie, nadają mieścinie widok wesoły. Rano i wieczorem, uliczki wiodące do źródła, ożywiają się gromadami niewiast, które kroczą powoli, milczące i poważne, z urną (dzbanem) lekko pochyloną na głowie, z ręką wzniesioną dla jej podtrzymania, z zarzuconą w tył, nizko spływającą zasłoną. W dni świąteczne i szabat, drożyny i błonia podmiejskie zaludniają się — wszędy widzisz rozrzucone gromady, osobno mężczyzn, a osobno kobiet: na stokach wzgórz, w cieniu drzew oliwnych, przy grobach. Cała miejscowość tchnie spokojem, samotnością, zdaje się być odgrodzoną od reszty świata, aby módz swobodnie do Nieba myślą się wznosić.

W tej oto miejscowości, w jednym z tych domów spokojnych, mieszka Panienka światu nieznana, która rychle otrzyma od Boga najwyższe Objawienie, bo nadeszła chwila, w której odwieczne nadzieje ludu żydowskiego wydadzą owoc swój. Ominął Bóg wielkich, — starszyznę kapłańską, doktorów, uczonych, bogaczy, z pośród ludu wybrał sobie pokorne, nizkie w oczach własnych stworzenie.

Imię Panienki — Marya; nie ma jeszcze lat szesnastu. Rodzice jej: Joachim, który dzieckiem ją odumarł, i Anna, acz pochodzili z rodu królewskiego, z krwi Dawidowej, żyli jednak w ubóstwie. Sama Panienka wychowywała się w kościele, do czego Ją skłoniło natchnienie Boże. Mimo przecież, że poświęciła Bogu panieństwo swoje, stosując się do zakonu i zwyczaju żydowskiego, jako jedynaczka, została zaręczoną i poślubioną mężowi imieniem Józef, z tego co i Ona pokolenia i rodu, jako najbliższemu krewnemu Swemu, który także obejmie Jej dziedzictwo. Obrządek wprowadzenia Jej w dom mężowski jeszcze się nie odbył; mieszka z matką, przygotowując wyprawę swoją, bo tak każe powszechny w Jej narodzie panien poślubionych obyczaj.

Razu pewnego ujrzała wchodzącego w dom Jej i stającego przed Nią w postaci ludzkiej Gabryela, Anioła Bożego, który odezwał się w te słowa:

— Zdrowaś, łaski pełna. Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami.

Narzeczone u Żydów kryją się przed okiem mężczyzn; Maryę przeto widok i pozdrowienie Anioła zatrwożyły. Anioł zaś rzekł:

— Nie lękaj się, Maryo, albowiem znalazłaś łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, nazwiesz imię Jego Jezus. Ten będzie wielki, a będzie zwan Synem Najwyższego. Da Mu Bóg stolicę Dawida, ojca Jego i bądzie królował w domu Jakubowym na wieki, a królestwa Jego nie będzie końca.

Zrozumiała wówczas Panienka, że Anioł mówi o oczekiwanym Zbawicielu, o Tym, który ma podźwignąć i utwierdzić na wieki obalony tron Dawida, który będzie chwałą świata, oczekiwaniem narodów, dumą Matki swojej. Ale jakże to być może, by do tego Boskiego wezwania powołana była Ona, która panieństwo Niebu ślubowała? Zapytuje się tedy ze zdumieniem:

— Jakoż się to stanie? — i słyszy odpowiedź:

— Duch Święty zstąpi na Cię, a moc Najwyższego zaćmi Tobie, przetoż i co się z Ciebie narodzi Święte będzie nazwano Synem Bożym.

Anioł dał Jej znak przekonalny. Rzekł:

— Oto Elżbieta, krewna Twoja, i ona poczęła syna w starości swojej, bo u Boga nie będzie żadne słowo niepodobne.

Marya, słysząc to, zawołała:

— Oto służebnica Pańska — niech mi się stanie według słowa Twego.

Anioł odszedł, Marya zaś, nazajutrz, udała się do pokrewnej swojej Elżbiety, mimo podeszłego wieku wybranej na matkę Jana Chrzciciela.

Mieszkała Elżbieta z mężem swoim, Zacharyaszem kapłanem, w górach Judzkich, w wiosce Karem, dziś przezwanej Ain-Karim. Gdy Marya weszła w dom jej, zaledwie słowo pozdrowienia wypowiedziała, Elżbieta, Bożem natchnieniem oświecona, woła:

— Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twego. A skądże to przyszła Matka Pana mego do mnie? Błogosławionaś, któraś uwierzyła, bowiem spełni się to, co jest powiedziane od Pana.

Marya wtedy objawia Elżbiecie, we wzniosłym natchnionym hymnie, tajemnicę powołania i macierzyństwa swego:

— Wielbi dusza moja Pana. Rozradował się duch mój w Bogu, w Zbawicielu moim, wejrzał na nizkość służebnicy swojej, albowiem odtąd błogosławioną mnie zwać będą wszystkie narody; albowiem uczynił mi wielkie rzeczy, który mocny jest i święte imię Jego, a miłosierdzie Jego od narodu do narodów, bojącym się Jego. Uczynił moc ramieniem Swojem, rozproszył pyszne myśli serca ich; złożył mocarze ze stolicy, a podwyższył nizkie; łaknące napełnił dobrem, a bogacze z niczem puścił; przyjął Izraela, sługę Swego, wspomniawszy na miłosierdzie Swoje, jako mówił do ojców naszych: Abrahamowi i imieniu jego na wieki.

Marya zatem, w duchu proroczym, przepowiedziała przyszłą chwałę Swoją, nieustający chór uwielbienia, który Ją będzie witał z wieku na wiek; ale w tem wszystkiem widzi tylko tryumf Jego, który Jej i w Niej wielkie rzeczy uczynił. Hymn ów natchniony zamyka okres czasów starych, śpiewa go już nie nadzieja wzywająca Boga, lecz wiara tryumfująca w oglądaniu i posiadaniu Go. Natchnione słowa Maryi są najwspanialszym krzykiem radości, jaki kiedykolwiek pierś ludzka z siebie wydała.

Zostawała Panienka w domu Zacharyasza przez trzy miesiące, a cały ten czas był dla dwojga niewiast wybranych jedną długą modlitwą, nieprzerwaną wymianą wzajemnych zwierzeń, nieustannem uwielbianiem wyroków Bożych, nieustannem oczekiwaniem ich spełnienia się. Za sprawą Maryi duch promieniał w tym domu — promieniał i w duszy Zacharyasza, i w duszy Maryi, i w duszy nienarodzonego jeszcze Dziecięcia.

Wreszcie Elżbieta powiła syna. Stało się tedy zgodnie z zapowiedzią, jaką otrzymała Marya od Gabryela, również zgodnie z obietnicą, jaką otrzymał Zacharyasz, bowiem razu pewnego w świątyni jerozolimskiej, ofiarując kadzidło, ujrzał z prawej strony ołtarza kadzenia Anioła Bożego i usłyszał, jak wysokie, jak święte przeznaczenie czeka to dziecię jego, narodzić się mające. Podczas obrzezania dzieciątka niezwyczajne zaszły wypadki. Krewni i przyjaciele, stosując się do zwyczaju, chcieli dać temu pierworodnemu imię ojca jego: Zacharyasz. Elżbieta, prawem matki, bo nadawanie dzieciom imienia było u Żydów przywilejem wyłącznie matek, sprzeciwiła się temu.

— Jan — rzekła — będzie imię jego, bo ono wyraża łaskę, mnie, matce uczynioną.

Trza dodać, że *Johana* znaczy po żydowsku: dar Boży.

Krewni udali się do Zacharyasza, aby on spór rozstrzygnął; Zacharyasz zaś kazał sobie podać tabliczkę (bo od chwili widzenia w Świątyni Jerozolimskiej był oniemiał) i na niej napisał:

„Jan jest imię jego“.

W tej chwili odzyskał mowę, począł chwalić Boga.

W Zacharyasza także wstąpił duch proroków, bo widzi on i odgaduje cuda, których niewypowiedzianą tajemnicę Marya z Nazaretu piastuje; ma jasną świadomość powołania swego syna Jana; rozumie, iż wszystko, co Bóg od wieków zapowiadał przez wybrańców Swoich, już się nareszcie spełnia. To wszystko wyraża podniosłemi słowy:

— Błogosławiony Pan Bóg izraelski! Nawiedził i uczynił odkupienie ludu Swego; podniósł róg zbawienia nam, w domu Dawida, służebnika Swego; uczynił miłosierdzie z ojcy naszymi i wspomniał na testament Swój święty; spełnił przyrzeczenie, które dał Abrahamowi, ojcu naszemu, jako sprawi: żebyśmy, wybawieni z ręki nieprzyjaciół naszych, bez bojaźni Mu służyli, w świętości i sprawiedliwości przed Nim po wszystkie dni nasze.

O synu zaś swoim powiedział:

— A ty, dzieciątko, prorokiem Najwyższego będziesz nazwane. Uprzedzisz przed obliczności Pańską, abyś gotował drogi Jego, iżbyś dał naukę ludowi Jego, na odpuszczenie grzechów ich, dla wnętrzności miłosierdzia Boga naszego, przez które nawiedził nas Wschód z wysokości, aby zaświecił tym, którzy w ciemności i w cieniu śmierci siedzą, ku wypróbowaniu nóg naszych na drogę pokoju.

Słowa te świadczą, że nowy duch przenikać począł człowieczeństwo: bo Jezus, jeszcze nie urodzony, a już promienieje, oświeca i poświęca.

Po dwóch miesiącach, wróciła Marya do Nazaretu. Józef nie był świadomy tajemnicy Maryi, teraz dopiero oświecił go w tem Anioł, który mu się ukazał we śnie, mówiąc:

— Józefie, synu Dawida, nie bój się przyjąć Maryi, małżonki swojej, albowiem co się w Niej poczęło, jest z Ducha Świętego. A porodzi Syna i nazowiesz imię Jego Jezus (Bóg-Zbawiciel), albowiem On zbawi lud Swój od grzechów ich.

Józef, przebudziwszy się, bez wahania usłuchał rozkazu Bożego, wprowadził Maryę w dom swój, według zwyczajów żydowskich i galilejskich. Odbyły się tedy gody siedmiodniowe, z ofiarą baranków, z orszakiem panieńskim, który niósł lampy płonące i gałązki myrtowe w ręku.

Czas upływał. Małżonkowie żyli z sobą, jak brat z siostrą, bo Józef, oświecony przez Niebiosa, rozumiał, iż jest tylko obrońcą małżonki swej i mającego narodzić się z Niej Dziecięcia. Panował wtedy w Rzymie cesarz August, a świat pod nim zażywał wyjątkowego spokoju. Korzystając z tego, August postanowił dokładnie obliczyć ludność i potęgę ogromnego swego państwa, nakazał więc dokonać w niem powszechny spis mieszkańców. W Syryi, Palestynie i ziemi żydowskiej przeznaczony był na to Cyryniusz, ten zaś polecił, aby wszyscy gromadzili



Boże Narodzenie.

się do miast, z których ród ich wywodził swój początek i tam stawali do spisu. Wskutek tego Józef, udać się musiał z Maryą do miasteczka Betleemu, gdyż z tego miasteczka pochodził.

Droga z Nazaretu do Betleemu, pieszo, trwa trzy do czterech dni; po upływie zatem tego czasu Józef i Marya stanęli u celu podróży. Betleem (znaczy po naszemu: „dom chleba") leży o dwie mile na południe od Jerozolimy, za równiną Rephaimów, pośrodku gór Judzkich. Zajmuje ono szczyty dwóch wzgórzy, złączonych z sobą w kształcie półksiężyca. Ogradzają je ze wszech stron doliny głębokie, z tych środkowa, zwana Wadi-el-Karrubeh, odznacza się urodzajnością, ujęta jest murowanemi tarasami, dla utrzymania na niej ziemi urodzajnej, wskutek czego, gdy się roślinność rozwinie, zmienia się w uroczy, zielony amfiteatr, pełen winnic, drzew oliwnych, figowych, migdałowych i świętojańskich. Widnokrąg całej miejscowości od północy i zachodu jest ograniczony górami; natomiast od południa i wschodu rozszerza się wspaniale. Tu widzimy pole, na którem Ruth, Moabitka, zbierała pokłosie; obok małą wyniosłość, z wioskami Beit-Saur, gdzie Booz miał bojowisko swoje; dalej puszczę Judzką, z piasczystemi górami, podobnemi do szarych kup popiołu; dalej jeszcze, w głębokiej wklęsłości, nad którą sterczy, nakształt wału, niebieskawa, we fiolet wpadająca masa skał Moabskich, morze Martwe kryje wody swoje. Tak się na pierwszy rzut oka przedstawia miejscowość, gdzie się urodził Dawid, do której teraz dążą tłumy jego potomków, a wśród nich Józef i Marya z Nazaretu.

Wszystkie domy w Betleemie były zapełnione po brzegi; chan, czyli gospoda miejscowa nie mogła pomieścić nadmiaru gości. Dla Maryi i Józefa nie stało już miejsca, zmuszeni byli schronić się do poblizkiej groty, jakich pełno w Palestynie, wydrążonej w pochyłości wzgórza wapiennego. Grota owa, zwana „żłobem" albo „stajnią", leżała na końcu miasteczka, przeznaczona była, jak z nazwy domyślać się można, dla bydląt. W tem nędznem schronieniu dokonało się największe w dziejach świata zdarzenie: narodził się syn Dawidowy, Ten, którego Anioł oznajmiał Matce Jego, iż będzie Świętym, Synem Bożym, Zbawicielem, Dziedzicem tronu wiecznego. Św. Bonawentura opowiada szczegóły tego zdarzenia, według objawienia, jakie miał pewien świętobliwy zakonnik, za jego czasów żyjący:

„Nadeszła chwila, a było to w nocy, z niedzieli na poniedziałek. Wtedy Najświętsza Panna wstała, oparła się o słup wspierający grotę. Józef siedział obok, zasmucony bardzo, że nic nie mógł przygotować dla Dzieciątka. Powstawszy, wziął siana ze żłobu, rozesłał je u stóp Maryi, i w tej chwili Dzieciątko znalazło się na tem posłaniu. Wnet też Marya nachyliła się, uściskała Je serdecznie, przytuliła do piersi, cudownie wypełnionych pokarmem i z natchnienia Ducha Świętego, własnem mlekiem obmyła Boskie Dzieciątko, a potem, obwinąwszy Je w zasłonę, którą nosi-

ła na głowie, złożyła w żłóbku. Wówczas wół i osieł (bo te stworzenia Najświętsi Małżonkowie, za sprawą Opatrzności, znaleźli w grocie, aby się sprawdziły proroctwa Izajasza i Habakuka o przyjściu na świat Syna Bożego pomiędzy zwierzęty)—wówczas tedy wół i osieł, upadłszy na kolana, powyciągały głowy swoje nad żłóbkiem i chuchały nozdrzami, jakby wiedziały, że to biedne, maleńkie Niemowlątko, tak ubogo przykryte, potrzebowała ogrzania wśród nocy zimowej. Następnie Marya uklękła, oddała cześć Bogu i składając Mu dzięki, rzekła:

— Składam Ci dzięki, Panie Ojcze Przedwieczny, któryś mi dał Syna Twego. Cześć Ci oddaję, Boże mój i Synu Boga żywego.

Józef podobnie cześć Mu oddał i wziąwszy siodło, które było na ośle, wyjął z niego poduszeczkę wełnianą, położył ją przy żłóbku, aby na niej Przenajświętsza Panna usiadła. I usiadła na niej Królowa Niebieska, a łokciami oparłszy się o siodło, patrzyła w żłóbek, oczy i serce mając utkwione w Syna Swego najdroższego.

Stało się to nocy grudniowej, w miesiącu Tebeth, według kalendarza żydowskiego, w najgłębszej tajemnicy. Miasteczko, we śnie pogrążone, ani się domyślało narodzenia Tego, który głośniej niż Dawid. uczyni je nieśmiertelnym.

Ale gdy spodobało się Bogu, aby w takiem ukryciu narodził się Syn Jego, nie chciał, żeby to długo pozostało w tajemnicy dla błogosławionych duchów, w niebie będących Aniołów, którzy byli już tam obecni, gdyż jak zawsze, tak zwłaszcza pod tę porę otaczali Przenajświętszą Pannę, oddali cześć Bogu swojemu, następnie oznajmili pasterzom, znajdującym się w polu, Narodzenie Pańskie, oraz wskazali miejsce, gdzie ono nastąpiło, potem wrócili do nieba i śpiewając hymny weselne, przynieśli tę radosną wiadomość wszystkim duchom błogosławionym. Cały Dwór Niebieski, w uniesieniu najradośniejszem, złożył za to dzięki Ojcu Przedwiecznemu, z kolei wszyscy Aniołowie, w rzędach, do jakich należą zstępowali na ziemię i przedstawiali się Panu Jezusowi, oddając Mu cześć najgłębszą, równie jak Jego Matce, wychwalając w hymnach niepojęte miłosierdzie Boże nad ludźmi.

Co do hołdu pasterzy, z tym tak się rzecz miała:

Czuwali owi pasterze, nad trzodą ich pieczy powierzoną, u stóp Betleemu, nieco dalej za Beit Saur, w tej samej równinie, na której Booz miał pole zboża i jęczmienia, gdzie Ruth Moabitka chodziła za żniwiarzami, zbierając kłosy; czuwali, odziani jak zwykle w skórę baranią, przewieszoną przez ramię, z długą, czarną płachtą na głowie, z pałkami dębowemi lub sykomorowemi w ręku, jedni boso, drudzy w nędznych san-

dałach. Naraz jasność z nieba oświeciła ich, ujrzeli stojącego tuż przy nich Anioła Pańskiego. Zlękli się wielką bojaźnią, Anioł im rzekł:

— Nie bójcie się,, bo oto opowiadam wam wesele wielkie, które będzie wszystkiemu ludowi, iż się wam dziś narodził Zbawiciel, którym jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowem. A ten wam znak: najdziecie Niemowlątko, uwinięte w pieluszki i położone w żłobie.

W tej samej chwili niebo całe rozbrzmiało wielkiemi głosami mnóstwa Aniołów, chwałę Bogu oddających i śpiewających:

— Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

Gdy zniknęli Aniołowi, pasterze mówili jeden do drugiego:

— Pójdźmy do Betleem, oglądajmy to Słowo, które się stało, które nam Pan Bóg pokazał.

Jakoż pośpieszyli do groty, a znalazłszy Maryę, Józefa i Niemowlątko, złożone w żłobie, poznali, że Dziecię to jest właśnie Zbawicielem Chrystusem Panem, który ród ludzki odkupi, Bogiem prawdziwym, który z miłości dla ludzi stał się człowiekiem, słowem Tym, którego zwiastowali Aniołowie. Przejęci gorącą wiarą, upadli na kolana przed Dzieciątkiem, oddali Mu cześć najgłębszą, stając się tym sposobem pierwszymi chrześcijanami i niejako pierwszymi apostołami, bo wróciwszy do trzód swoich, opowiadali wszędy, co widzieli, a wszyscy dziwowali się ich opowiadaniu, chwalili i wysławiali Boga.

Ono pole pasterzy po dziś dzień ma tę samą postać: co roku, w porze zimowej, jak za czasów Jezusa, trzody pasą się na niem w cieniu drzew oliwnych, co roku, o tej samej porze, ta sama zieleni się murawa, te same kwitną anemony. Cześć i nabożeństwo wiernych nigdy nie opuściły tego miejsca, na którem zajaśniał pierwszy blask wschodzącej zorzy Chrystusowej. W wigilię Bożego Narodzenia, betleemczycy biegną do kościoła Heleny, z którego tylko szczątki zostały, tam, w krypcie na wpół rozwalonej, modlą się i wzywają pasterzy z Beit-Sauru, przodków swoich.

Ósmego dnia, stosownie do wymagań zakonu Mojżesza, Dzieciątko zostało obrzezane i nazwane imieniem Jezus. Według przepisu Mojżeszowego, każde pierworodne, jakiegobądź stworzenia żyjącego, należało się w ofierze Bogu. Jeżeli ofiara dotyczyła ludzi, rodzice mogli ją zastąpić, składając pięć sykli monety kościelnej, albo sto obolów, czyli groszy. Matka, w 33 dni po rozwiązaniu swojem i po dopełnionym obrzędzie obrzezania, powinna była stawić się w świątyni, jeżeli była zamożną, złożyć w ofierze parę baranków, jeżeli ubogą — parę synogarlic. Posłuszni zakonowi, Marya i Józef, niosąc Jezusa, udali się z Betleemu do Jerozolimy, tam, stanąwszy u stóp wschodów kościelnych, przy samem wejściu na dziedziniec kapłański, na wprost ołtarza całopalenia, złożyli okup przepisany, a Marya wręczyła kapłanowi parę gołębic.

W świątyni było mnóstwo ludu, a pomiędzy tym tłumem, znajdował się starzec, imieniem Symeon, którego Duch Boży przywiódł w tym czasie do świątyni. Należał Symeon do gromadki sprawiedliwych, żyjących w wierze, w bojaźni Bożej i wzywających codziennie przyjścia upragnionego Mesyasza; pod białym włosem, nosił w sercu swoim ufność młodzieńczą; gdy inni wątpili, zali doczekają przyjścia Mesyasza, on jednak był przekonany, zapewniony głosem tajemnym, iż przed śmiercią oczyma własnemi oglądać będzie Chrystusa Pańskiego. Jakoż ujrzawszy Dziecię, podawane przez Maryę kapłanowi, wziął Je na ręce i, jak Zacharyasz, stał się nagle prorokiem.

— Teraz — zawołał — puszczasz sługę Twego, Panie, w pokoju według słowa Twego, gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje, któreś zgotował przed obliczności wszystkich narodów: światłość na objawienie poganów i chwałę ludu Twego izraelskiego.

Józef i Marya dziwowali się tej mowie, Symeon zaś błogosławił im i wszystek promieniejący tym duchem, który go wówczas tu oświecał, rzekł do Maryi, wskazując Dziecię:

— Oto ten położon jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą,—i duszę Twą własną przeniknie miecz, aby myśli z wiela serc były objawione,.

Proroctwo to, zapowiadające bolesne koleje Jezusa i cierpienia Matki Jego, gorzko się sprawdziło.

Słowa Symeona wielkie sprawiły wśród tłumów wrażenie, zwłaszcza na Annie, córce Fanuela z pokolenia Aser, staruszce, liczącej 84 lata, która owdowiawszy w siedm lat po zamęźciu, poświęciła się służbie w świątyni, dni i noce spędzała na postach i modlitwie. Patrząc na ofiarowanie Jezusa i słysząc przepowiednie Symeona, uczuła również natchnienie Boże, zaczęła głośno wyznawać Pana i opowiadać wszystkim, w nadziei odkupienia żyjącym, że wreszcie Izrael doczekał się Zbawiciela swego.

Wypełniwszy przepis zakonu, Józef i Marya opuścili Jerozolimę, wrócili do Nazaret, lecz niedługo tam pozostawali, bo Józef rozważył, iż oczekiwanemu Zbawicielowi należało żyć i działać w Judei, w ziemi żydowskiej, w pobliżu świątyni narodowej, do której wszyscy Żydzi się garnęli, a nie w Galilei pogańskiej, o której najcnotliwsi Izraelici mówili:

— Czy może być co dobrego z Nazaret?

Tak rozważywszy, udał się z Maryą i Jezusem znów do Betleemu, aby się tam osiedlić. W czasie tego drugiego pobytu w Betleemie zaszły wypadki, które nową, pełną tajemnicy i majestatu jasnością oświecają niemowlęctwo Jezusa.

Trzeba wiedzieć, iż wiara Żydów, w przyszłość zgotowaną ich plemieniu i w Mesyasza, mającego panować nad całym światem, przekroczyła



Dzieciątko Jezus w kościele.

granicę ich kraju, zaszczepiła się powoli w pogaństwie, szerzyła się po całym Wschodzie, a nawet zniechęcone do życia umysły Rzymu rozjaśniła promykiem otuchy. Otóż w jednym z krajów Wschodu, mężowie, mianujący się mędrcami z zawodu, co w gwiazdach wyczytywali tajemnice przyszłości, ujrzeli dnia pewnego nową, świetną gwiazdę na niebie. Z początku nie umieli sobie wytłómaczyć jej znaczenia; po długich jednak badaniach odwiecznych podań i proroctw, jak również pod wpływem oświecenia Bożego, przyszli do wniosku, iż gwiazda owa jest oznajmieniem narodzenia się wielkiego króla, obiecanego Żydom. Trzech z tych Mędrców udało się niezwłocznie do Jerozolimy, a przyjazd tych cudzoziemców, otoczonych wspaniałym orszakiem, wzbudził uwagę ogólną. Oni tymczasem wszędzie się dopytywali, wierząc niezłomnie, iż proroctwa się spełniły:

— Gdzie jest, który się narodził, król Żydowski? Albowiem widzieliśmy gwiazdę Jego na wschód słońca i przyjechaliśmy pokłonić się Jemu.

O poszukiwaniach Mędrców dowiedział się Herod, król panujący nad ziemią żydowską i zatrwożył się, mniemając, iż zapowiedziany od wieków król, jeżeli się narodził, tronu go pozbawi. Zebrał tedy wszystkich przedniejszych kapłanów oraz uczonych i pytał ich: gdzie się miał Chrystus narodzić?

— W Betleem judzkiem — odpowiedziano mu.

Wtedy chytry tyran, wezwawszy Mędrców, rzekł im:

— Idźcie a dowiedzcie się pilno o Dzieciątku; gdy zaś się dowiecie, oznajmijcie mi, abym i ja mógł pokłonić się Panu.

Mędrcy odjechali i oto gwiazda, którą byli widzieli na wschód słońca, na nowo im się ukazała i szła przed nimi, wreszcie zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię. Wszedłszy do domu, zamieszkiwanego przez Świętą Rodzinę, upadli na kolana, złożyli hołd Jezusowi, następnie ofiarowali mu: złoto, jako Królowi przyszłego wieku; kadzidło, jako Kapłanowi; myrrę, jako Umęczonemu, który przez śmierć Swoją utwierdzi między ludźmi wieczne królestwo i kapłaństwo. Uczyniwszy to, naradzali się, czy należy o odnalezieniu Zbawiciela zawiadomić Heroda, bo mieli przeczucie, że tyran ów coś złego zamyśla. Wahających się oświeciło we śnie objawienie Boże, tedy ominąwszy Jerozolimę, inszą drogą wrócili do krainy swojej.

Herod, nie doczekawszy się Mędrców, ździwił się i oburzył. Tymczasem wiadomości o narodzeniu się Króla żydowskiego powtarzały się coraz uporczywiej, przejmując go coraz większą trwogą i wściekłością. Była to bowiem dusza służalcza. Podły i płaszczący się wobec Rzymian, panów swoich, dla poddanych za to żadnej nie znał litości. Gniew był jedną z głównych wad tej natury podejrzliwej, niczem go nasycić nie mógł jeno krwią. Morderstwo też było ulubionem narzędziem jego panowania. Zaledwie wstąpił na tron, wyjednał u cesarza rzymskiego, An-

toniusza, wyrok śmierci na zwyciężonego Antygona; każe w pień wyciąć wszystkich członków Sanhedrynu (najwyższego trybunału żydowskiego), ponieważ w czasie oblężenia Jerozolimy stali przeciwko niemu; przyrodniego brata swego, Arystobula, topi w łaźni; w Jerycho, pod udanym pozorem zdrady, wydaje w ręce kata ośmdziesięcioletniego Hyrkana; zabija żonę swoją Maryamnę; dusi synów swoich, Aleksandra i Arystobula... Teraz więc, gdy widzi powszechne w Jerozolimie poruszenie, wywołane wiadomością o narodzeniu się Zbawiciela, bez wahania woła:

— Natychmiast Go ująć i zgładzić!

Daremnie jednak siepacze tyrana się trudzili, daremnie przetrząsnęli Betleem, nie znaleźli poszukiwanego. Wówczas Herod nakazał rzeź powszechną niemowląt w Betleemie i całej okolicy. Siepacze spełnili rozkaz tygrysi—jęki i płacz matek rozległy się w dolinach, 14 tysięcy niemowląt, według opowieści jednych, a 144 tysiące, według opowieści innych, otrzymało koronę męczeńską. Były to — jak mówi Ś-ty Augustyn — pierwsze kwiaty męczeńskie i jakby pierwsze powstającego Kościoła pączki, zaledwie rozwinięte wśród zimy pogańskiej, a już mrozem srogiego prześladowania zwarzone.

Odetchnął Herod po tym wszelkie okrucieństwa przechodzącym czynie, mniemał, że się od niebezpieczeństwa uwolnił; że utopił we krwi wciąż rosnące nadzieje ludu. Srodze się mylił. Tego tylko dopiął, że kolebka Jezusa zarumieniła się krwawą aureolą męczeństwa; że przy boku Jezusa stanął niepokalany hufiec męczenników; że inni pójdą w ślady owych młodzianków, dla imienia Jezusa zamordowanych. Bo droga Chrystusa jest przez pokolenia człowieczeństwa naznaczona krwią i wszyscy, którzy pragną wstąpić w ślady Ukrzyżowanego, cierpieć będą na tym świecie, na którym nikt nie doznaje takiego przeciwieństwa, jak Bóg, który go stworzył i zbawił.

Omylił się Herod, bo Józef, po odejściu trzech Mędrców — królów, otrzymał ostrzeżenie od Boga. Tajemniczy głos rozkazał mu:

— Wstań, a weźmij Dziecię i Matkę Jego, uciecz do Egiptu i bądź tam, aż ci powiem. Albowiem Herod szukać będzie Dziecięcia, aby je zatracił.

Posłuchał Józef niezwłocznie, udał się z Maryą i Jezusem do Egiptu, skąd dopiero wrócił po śmierci Heroda, aby zamieszkać, wedle wskazania Bożego, w Nazarecie.

* *.

Opowieść o Narodzeniu Pańskiem i o niemowlęctwie Syna Bożego przesyłamy Czytelnikom „Dzwonka Częstochowskiego" dla uświetnienia

wigilijnego stołu, dla uczynienia uczty wigilijnej podnioślejszą i bardziej wzruszającą. Wraz z tą opowieścią, cudów najwyższych pełną, ślemy Wam do zwyczajem uświęconego opłatka życzenia żarliwej, gorącej wiary, umiłowania Zbawiciela i świętej Jego nauki, niewzruszonej wytrwałości w wyznawaniu i jej obronie. Kto posiądzie te zalety, ten skarb posiądzie, którego żadne dostatki i szczęśliwości świata nie opłacą, ani zastąpią, bo jeno z niemi osiągnąć można najwyższe szczęście: Zbawienie duszy po śmierci; one również staną się balsamem kojącym na wszelkie utrapienia życia doczesnego, puklerzami do walczenia przeciwieństw, zawodów i pokus.



Niepokalanie Poczęta.

Rok 1854 chlubnie się zaznaczył w dziejach Chrześcijaństwa, bo o jeden wysoki szczebel podniósł w sercach wiernych chwałę Zbawicielowej Matki.

Już w samych początkach Chrześcijaństwa wierni wyczuwali niepokalaność Jej, spodziewali się tej niepokalaności, byli nawet poniekąd jej pewni. Przekonanie pierwszych wieków potęgowało się w późniejszych czasach coraz silniej, szerzyło coraz bardziej. Powstały wspaniałe uroczystości na cześć Niepokalanej, stanęły świątynie pod wezwaniem Niepokalanej, zanoszono modły na imię Niepokalanej. Kto śmiał płynąć pod prąd i przeczyć niepokalaności Maryi, ten był uważany za niedobrego syna, który odmawia Matce czci należnej, który tamuje rozgłos Jej sławy, choć ta sława i ta cześć płynęły z serca czystego, szczerego, serca prawych Chrześcijan.

Lecz chłodniejsi czciciele Maryi mieli tłómaczenie.

— Możemy wierzyć, jak nam się podoba — była ich odpowiedź — boć Najwyższy Kapłan nie zabrał jeszcze głosu i z wysokości Apostolskiego urzędu swego nie oświadczył, przy kim jest słuszność. — *Roma locuta: causa finita* — *Rzym orzekł: rzecz skończona* — powiadają wieki. Więc i my też dopiero wtedy nagniemy nasz umysł do niepojętej prawdy, gdy ten Rzym powie nam: — „Wierzcie, bo prawda o niepokalaności Matki Bożej zawarta w przebogatym skarbcu wiary!“

I oto Pius IX, Ojciec Chrześcijaństwa o sercu bez dna i bez granic, jak dla Boga tak dla ludzi, a więc umiejący wnikać w serca wiernych wyznawców Chrystusa, postanowił rozstrzygnąć sprawę. Choć był na wygnaniu, bo Rzym opanowali ludzie niecni, choć wichrzyły nad jego głową burze złowieszcze, choć serce miał rozbolałe i rozdarte, zabrał się do dzieła przy pomocy Bożej. Kto wie, może i dlatego się doń zabrał, że-

by, dogadzając sercu wiernych, rozradować ich szczęściem serce swoje. W encyklice, wydanej roku 1849 w Gaecie, gdzie się chronił, zalecił światu gorące modły o światło Ducha Świętego, i zarazem zażądał, aby mu nadsyłano zdania o poczęciu się Najświętszej Maryi. Nie było narodu, ani języka, ani kraju, ani kącika na ziemi, któryby nie wziął żywego udziału w wielkiej sprawie. Zewsząd nadsyłano gorące prośby do Najwyższego Kapłana, by spełnił wielowiekowe pragnienia wiernych i usankcyonował swą nieomylną powagą cześć ku Niepokalanej. Płynął rok za rokiem, a dociekania mężów nauki i religii były coraz głębsze, modły wiernych coraz gorętsze, wyglądanie przez Ojca Świętego pomocy z Niebios coraz więcej świętą natrętnością natrętne.

Nadszedł nareszcie dzień 8 Grudnia 1854 r., i Namiestnik Chrystusa w Bazylice Świętego Piotra, w otoczeniu kardynałów i dwustu biskupów, ogłosił światu, że Matka Zbawiciela w rzeczy samej została niepokalanie poczętą, że zmaza grzechu pierworodnego, którym oszpecona jest ludzkość cała z winy pierwszych rodziców, nie postała na Niej ani na chwilę, że pełność łaski, niczem nieograniczona, uszczęśliwiała niepokalaną Jej duszę jeszcze w żywocie matki..

Cóż się wtedy w Stolicy Chrześcijaństwa nie działo! Swiadkowie wesela i zapału ludności rzymskiej nie mieli na samo nawet ich wspomnienie. Nabożeństwa po świątyniach, o których nie ma pojęcia ten, co ich nie widział, illuminacye po domach, processye po ulicach, okrzyki radosne: *Evviva Maria!* — *Niech żyje Marya!* brzmiały bez końca. Gromkie echo uroczystości Rzymskich rozeszło się po całym świecie i odbiło się od świątyń i domów i serc tam, dokąd sięga władza Namiestnika Chrystusowego.

A naród nasz cóż wtedy Królowej Niebios przyniósł w dani? O! on nie pozostał w tyle za innymi narody i złożył cześć Maryi, na jaką stać było gorące i miłujące jego serce, i poprzysiągł składać ją na wieki. A cóż powiedział na powitanie swej Matce, gdy Najwyższy Kapłan zdjął z niej tajemniczą zasłonę i pokazał niepokalaność, i całą krasę, i wszystek urok Jej? Zaśpiewał jej tak, jak i dziś śpiewać umiemy, pieśnią, którą przebija sklepienia naszych kościołów:

Witaj, Święta i poczęta niepokalanie,
Marya, wonna lilija, nasze kochanie!...

Ks. St. Gruchalski.



O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa

przełożył wierszem

Ks. Alfons Trepkowski.

KSIĘGA I.

ROZDZIAŁ I. *)

(Jan VIII—12) Kto za mną spieszy, nie chodzi w ciemnościach
1. Tak uczył Chrystus. Mądrość Boska Jego
Pociąga uczniów, by społem w czynnościach,
Jeżeli pęta ślepca doczesnego
Z duszy swej zerwą; łaską oświeceni
Szli za Jezusem pośród krzyża cieni.

2. Nauka Mistrza potęgą i krasą
Przechodzi wszystkich Świętych wzniosłe mowy;
Duch jej w swej treści Niebiańską jest czaszą;
W pielgrzymce ziemskiej, by manna Jehowy —
Aliści wielu wzrok błędny odwodzi,
Lubo w pryzmacie im świecił blask wieszczy,
Żaru Boskiego tam niemasz. A chłodzi —
Wpływ świata. Prąd ów olbrzymio szeleści.
I żeby nie iść w jego trop zwodniczy,
Chrystus niech w życiu zawsze przewodniczy.

*) Przez pomyłkę rozpoczęto druk tej pracy w poprzednich tomach „Dzwonka Częstochowskiego“ od rozdziału III księgi pierwszej, obecnie podajemy te rozdziały, rozpoczynając od pierwszego. *Red.*

3. Po cóż uchylać oponę tajemnic
Patosem mowy Trójcę Świętą głosić,
Skoro pokorę przepaścisz wśród ciemnic
Czy Świętość Trójcy może pychę znosić?
Wiedz szczytne słowa nie zdobią w koronę
Wieczystej chwały, lecz życie cnotliwe. —
Ono-ć przez Boga bywa nagrodzone.
Wolę więc tedy kajać się przed Panem
Niż mózg mitrężyć Jego określeniem.
Bo choćby umysł objął Biblię całą,
Chociażby zgłębił filozofów zdania,
Pytam i nacóż wszystko się przydało?
Gdy Bóg Ci łaski, miłości swej wzbrania?

(Eccl. I—2) Nad marnościami marność świat okala
Miłować Boga — oto szczęścia szala.
Najwyższa mądrość — wzgardzić służbą świata;
Życie poświęcić Niebu, by obiata.

4. Marnością będzie gonić za skarbami,
Które pożera nicość zębem czasu
Wobec wieczności nadzieja omami. —
Marnością również, gdy żądza hałasu,
Ambicyi, sławy prze w górę bez granic.
Marność, gdy chuciom zapory nie stawiasz,
Pragnień, rozkoszy, by nie oddać za nic;
Boć sobie w dzień ów karę wielką sprawiasz.
Marność pożądać w życiu dni bez końca;
Gdy toń występku pokrywa szlak jego.
Marność spozierać jedno dziś w snop słońca
Bez wzroku w przyszłość, a wzroku bystrego. —
Słowem marnością będzie — kochać rzeczy,
Które mkną szybko w przestworza nicości;
Miasto podążać za tem, co uleczy,
Dźwignie na ziemi, nagrodzi w wieczności.

5. Pomnij przysłowie — mądrości Krynicę:
(tamże 8). Wzroku i słuchu niczem nie nasycę.
Staraj się zatem odwrócić swe serce
Od nędzy świata, a wzbij myśl w obłoki.
Kto bowiem legnie w zmysłów swych szermierce
Ten skalał duszę — bez łaski — Bóg srogi. —

(d. c. n.).

Na Roli.

Opowieść z niedawnych czasów.

A. S.



ROZDZIAŁ I.

Było to w jesieni roku 1853.

W kościelnej wsi Studzianna, słynącej szeroko cudownym obrazem Matki Najświętszej, trafiamy w opowiadaniu naszem na doroczną uroczystość odpustową.

Ludu jak nabił, a że Studzianna leży na skraju samym prawie trzech powiatów, że nadto o milę ztąd tylko rzeka Pilica, a po za nią tam ku północy inny strój, inny obyczaj i mowa nawet między narodem cokolwiek odmienna, więc nie dziw, że taka w tym tłumie świątecznym różnobarwna rozmaitość. Jest też tu onej rozmaitości, jest — tylko patrzeć, a dziwić się. Z po za rzeki napłynęła narodu pieszego, konnego i na furmankach wszelakich ćma ogromna, a wszystko to ubrane dostatnio, rosłe, dorodne, ot, zwyczajnie, jak to bywa tam, gdzie ręka Pańska hojniejsza. Ziemie tam bogatsze, łąki i pastwiska żyzniejsze, Warszawa także nie za górami — co się tu dziwić, że sprzęga u jednego i drugiego pokaźniejsza, przyodziewek na kobiecie i dziecku aż w oczy bije, a u gospodarza samego fantazya i rezon taki, że tylko ustępuj z drogi.

Jakiś spokojniejszy i nie taki zawadjacki ten człek, co na święto dzisiejsze ściągnął tu od Radomia i dalszych tamtych okolic, a chociaż i na nim znać zamożność większą, niż na tym miejscowym Opoczyńskim ludzie, ale ani strojem, ani butą, ani dobytkiem nie dorównać mu, temu ochoczemu przybyszowi z za rzeki, który tu rej wiedzie, jak gdyby był u siebie.

Ubogo zupełnie przedstawia się za to ludność okolicy najbliższej i tego całego długiego szmata ziemi, który się ciągnie od Studziannego w stronę południa i południo-zachodu. Ziemie to ubogie zupełnie, zarobek trudniejszy jak gdzieindziej, rola człowiekowi zaledwie pomocą, a nie matką i żywicielką szczodrą jak hen! ku północy, więc też to wszystko, co napłynęło tu dzisiaj od Końskich i Mniowa z jednej, a Inowłodza z drugiej strony, bardzo wyraźnie odbija od reszty, choć ta reszta, to przecież nie obcy, ale swoi krwią, pochodzeniem i wiarą.

Cóż chcecie? — w jednej chacie i z jednaką miłością wychowają ojcowie gromadkę dzieci, a nie upłynie lat kilkanaście, a już na jednem się świeci, a drugie w biedzie – jednemu gody drugiemu chłody, jak to mówią ludzie.—Co się tu i dziwić, że na całym ogromnym obszarze naszej ziemi co mil kilka lub kilkanaście inna gleba, inny byt i odmienny wygląd człowieka.

Ci od Mniowa i Końskich, o których wspomnieliśmy, to lud przeważnie górniczy wyróżniający się na pierwsze spojrzenie sukmaną ciemniejszą, zapiętą na białe metalowe guziki, czapką niby mundurową i drewnianemi trepkami na nogach; ci drudzy, to ludność zarobkująca w przemyśle wapiennym, szukająca nadto zarobków flisackich i leśnych w porze właściwej—ot, zwyczajnie, jakto bywa wszędzie tam, gdzie się na samą ziemię oglądać nie można.

Dzisiaj to wszystko zmieszane ze sobą, dzisiaj każdego ściągnęła ta uroczystość religijna, a przecież nie tacy o granice sąsiedzi, ale inni od siebie dalecy, jak górale Tatrzańscy, Kurpiowie, Mazury i krakowski naród ciągną wszyscy do onej Jasnej-Góry naszej, która od wieków to wszystko u stóp swoich gromadzi.

— W tej chwili w Studziannem powraca procesya do kościoła; ten i ów ciśnie się jeszcze, aby słowo Boże usłyszeć, boć to dzisiaj proboszcz sąsiedniej parafii ma kazanie odpustowe, a lud okoliczny nawykł do tego szczerego, serdecznego głosu, i nie omija żadnej sposobności, aby w nim otuchy i siły w przeciwnościach życia zaczerpnąć. Stary ksiądz mówił godzinę blizko, tłómaczył znaczenie tej uroczystości dorocznej, przypominał jej dawność, wyrażał życzenie, aby pamiętały o niej wnuki i prawnuki, tak jak pamiętali niegdyś ojcowie i dziady. Pod koniec, kiedy podniósł rękę, aby zgromadzonym błogosławieństwa udzielić, widać było że drgnęła ta ręka, jak gdyby pod wpływem jakiegoś niezwyczajnego wrażenia, a że jednocześnie i głos nie dopisał starcowi, a oczy z wytężeniem zwrócone miał na wielkie drzwi, więc pobiegły w tym kierunku zaciekawionego całego prawie pobożnego tłumu spojrzenia. Nie zauważył jednak ogół zebrany nic szczególnego, i tylko bliżsi wejścia spoglądali z pewnym podziwem na dwóch ludzi, którzy weszli niewiadomo kiedy, a teraz pochylone były ku ziemi ich głowy, i nie zdawali się rozumieć, aby

mieli być przedmiotem powszechnej uwagi. Obaj prawie w jednym wieku, obaj nosili na twarzach wyraz wielkiego znużenia, a dzięki zniszczonej żołnierskiej odzieży wyróżniali się z pośród całego różnorodnego tłumu zebranych. Spoglądano na nich ciekawie, przypatrywano się bacznie, ale ten i ów po przeglądzie takim zwracał się do najbliższego sąsiada i mówił głosem przyciszonym:

— Obcy jacyś ludzie—zdaleka widać idą.

— Nie tutejsi z pewnością,—odpowiadał tamten.

Tymczasem skończyło się kazanie, a po nabożeństwie zaroiło się przed kościołem, i jaki taki zdążał między swoich, aby się nagadać i zażyć odpustowej uciechy. Za innymi wyszli i ci dwaj podróżni, jak teraz po chodzie rozpoznać już było można—napewno żołnierze i rozglądali się nieśmiało, jak gdyby szło im oto, żeby kogoś zaczepić, a niewiedzieli, jak się do tego zabrać. Z miejscowej ludności każdy obejrzał się za nimi, ale niepoznając w nich nikogo z dalszych ani bliższych, odchodził za swojemi sprawami. I byliby tak krążyli w tym tłumie nie wiedzieć jak długo, gdyby z po za nich nie był się dał słyszeć niespodzianie głos:

— Pietrek! poznałem cię odrazu.

— Słucham! — odpowiedział ten który się obejrzał na imię: Pietrek, pochylając się do ręki starego księdza.

— Poznałem cię, choć się zmieniłeś bardzo. Chłopcem cię straciłem z oczu, dzisiaj wracasz...

— Dziadem—dokończył tamten z odcieniem smutku w głosie.

— No, dziadem—nie dziadem, boć przecie to temu nie wieki znowu...

— Dwadzieścia lat chyba....

— No, i co za wielka rzecz dwadzieścia lat! Kiedyś ty szedł do wojska, ja byłem już stary no, a dzisiaj? — dzisiaj chyba taki sam jak wtedy?—pytał ksiądz ze swoim poczciwym uśmiechem na twarzy.

— Nie tak to, ojcze!—zaprzeczył jednocześnie ruchem głowy ten Pietrek jakiś—ja nie byłbym poznał z pewnością...

— A niechże cię! to mię dobrze witasz... a wiesz ty, że jesteś moim chrzestnym synem? co?

— Jak mnie nie wiedzieć?

— No, dobrze! Dzisiaj mam ja tu jeszcze sporo do roboty, ale jutro rano, żebyś nie zapomniał przyjść do mnie—rozumiesz?

— Słucham — była znowu regulaminowa odpowiedź starego służbisty.

— Ale, a ten drugi, ten twój kamrat—kto on?

— Zięba, wielmożny proboszczu...

— Zięba — powtórzył ksiądz, parę razy, Zięba... zaczekajże... aha już wiem...! Jasiek Zięba... prawda? Ale ten gorzej zdziadział jak ty,

oh, gorzej daleko...! no, nie zapomnijże przyjść jutro; mam słowo do, ciebie. A jednocześnie, oglądając się dokoła, zawołał:

— Chrzczonowiaki! a co się tak patrzycie na mnie i na tych ludzi, a żaden się nie zbliży? Cóż to swoich nie poznajecie?

— Nijak, księże Proboszczu!—odezwał się jeden z bliższych gospodarzy, trzydziestokilkoletni człowiek może.

— Nie do ciebie ja mówię, bo ty gęsi chyba pasałeś w te czasy i pamiętać ich nie możesz, ale ty Paweł, a choćby i Franek i Jakób... no, Jakób! przec to wy krewniacy nawet...

Zaczepieni milczeli ciągle niepewni i niezdecydowani.

— No—Pietrek Stańczak... po Walentym Stańczaku—jakże? a niechże was z takiemi głowami!.. no bądźcie zdrowi, a kiedyście między swymi, to was już zostawię, bo przecie chyba radzi wam tu będą... Po tych słowach zbliżał się kolejno każdy i podawał ręce przybyszom, ale jednej i drugiej stronie nie raźno było jakoś, bo jak tu zagadać do takiego, co to lata całe het! za światem przeżył, i ani zgadnąć co jemu w smak, a co nie w smak być może. I mowa jakoś im się odmieniła, i niewiadomo co przynosi ze sobą jeden i drugi. Jednem słowem nie było dziwoty, że niesporo im wszystkim szło zbratanie się z przybyłymi, i że naprawdę więcej w tem wszystkiem było oględzin wzajemnych, niż słów i zapytań. Zresztą kto wie, co człowiek ma w myśli, bo i ci się tak jakoś obzierali dokoła, jak gdyby każdy z nich czegoś upatrywał, i za kimś jeszcze się oglądał. Nakoniec ten, którego proboszcz Pietrkiem Stańczakiem nazwał, zbliżył się do swego krewniaka Jakóba, i odsunąwszy się z nim nieco na bok, zagadnął nieśmiało:

— A z moich to tu nikogo niema na odpuście?

— Jakże to z twoich? Toć niby i ja twój jestem, a są tu przecie i Płócienniki oba i Wieczorek stary, co ci po matce swakiem jest; znajdzie się chyba i więcej, tylko powoli. Zaczekajże, wszystkich obaczysz i oni ciebie, i radzi będą żeś wrócił, bo też tu już i gadać o tobie przestali. Chodźmy!

— Przestali?.. powiadacie—mówił Pietrek, nie ruszając się z miejsca.

— A jakżeby? Co z oczu, to z myśli... toż to obyczaj taki już u ludzi. Pietrek milczał, a wpatrywał się w mówiącego, kilka razy otwierały mu się usta, jakby coś ważnego miał w myśli, a niewiadomo było, czy nie chciał, czy nie śmiał mówić, tylko coraz niespokojniejszy był w ruchach, i coraz bledszy na twarzy. Nakoniec, jak gdyby na raz wziął na odwagę, zaczął:

— Bo to ja chciałem... i tu uciął znowu, i zamilkł i wpatrywał się w tłum, który teraz zbitą masą śpieszył ku karczmie, bielejącej murami o kilka stai na prawo.

— Co chciałeś?—zapytał Jakób, widząc, że nieprędko doczeka się reszty.

— Chciałem niby dowiedzieć się co tam... z ojcami... no, bo jakże? Przecie nie ma dziwoty, że się ktoś po 20 latach o ojca i matkę przepytuje.

Jakób frasobliwie poskrobał się po głowie, i mruknął sobie między zębami: „To on widać naprawdę z za świata przychodzi, i nie wie nic. Że też to na kogo innego nie padło tylko na mnie."—Widząc jednak, że nie ma rady, zaczął od odpowiedzi wymijającej:

— To oni nie pisali do ciebie?

— Co nie mieli pisywać? pisywali zrazu i ja pisywałem, a potem to się tak jakoś naraz zrobiło, że com wysłał list, to nic; tak i mnie naprzykrzyło się, i powiedziałem sobie: co im tam będziesz głupi gadał o sobie, kiedy oni zabaczyli widać z kretesem...

— Hm, zabaczyli — nie zabaczyli, ale bo to widzisz różnie bywa... młodego dębczaka i wiatr nie obali, a stary, to się i sam obalić potrafi—to nie ma dziwoty nijakiej...

Pietrek znacznie przybladł na twarzy, ale milczał, nie śmiejąc badać dalej. Jakób natomiast, raz zacząwszy, chciał skończyć prędzej, i z pośpiechem zaczął opowiadać:

— Pomarli twoi starzy, mój kochany, oczywiście że pomarli, co nie mieli pomrzeć, kiedy to wiekowi ludzie byli i jedno i drugie. Walenty zaraz z jesieni jakoś, a matka to tak na bez rok po nim. Jużci chyba, że na bez rok, bo to ojciec w same żniwa jare był pochowany — pamiętam dobrze.

— Dawno?

— Czy dawno? no, to nie tak zaraz porachować, ale poczekajże! Dziedzic pomarł tego samego roku co mnie się Józiek urodził, a Jóźkowi na dwunasty rok się obróciło... to niby byłoby dwanaście lat, ale Walentemu... niby twemu ojcu, zmarło się niby we dwa lata potem, to będzie... ano tak—to będzie dziesięć lat, jak obszył. No, to już wiesz wszystko, mój kochany, i darmobyś się z Panem Bogiem chciał prawować, bo to nie nasza wola i nie nasze rządy. Panie, daj im wieczne odpoczywanie! bo poczciwi ludziska byli oboje, ale i najpoczciwszemu nie wiekować tutaj. No, chodź...

— Poczekajcież, a Marcycha?

— A prawda, to ty i siostrę miałeś. To widzisz ona wyszła za mąż do Jasionnej, ale słabowała długo, bo to on, ten jej chłop, to mi krewniak także, to ja to wszystko niby wiem o nich. Nie wieki to oni ze sobą chleb jedli razem, i on się w tamte zapusty ożenił drugi raz. Żebyś tak choć ze trzy lata wcześniej był przyszedł, tobyś ją był jeszcze obaczył przy życiu, a tak... No, niema co, mój kochany—kończył po swojemu Jakób,

wszyscy tam za nimi pójdziemy; nikt tu nie ostanie. A teraz chodź, to się z ludźmi obaczysz, jeden i drugi ciebie sobie przypomni, a ty jego i tak biedę zalejem, bo i co zrobić innego.

Piotr Stańczak markotny i osmutniały dał się pociągnąć ku karczmie, ale teraz ledwie go niosły nogi. Kęs świata niebylejaki przemierzył on swemi nogami, a nigdy jeszcze nie szło mu się tak raźno, jak od wczoraj, kiedy z Inowłodza most na rzece przeszedł i swój kraj lesisty, smutny, piaszczysty, ale swój rodzony obaczył. Po tylu latach, po tylu biedach i troskach! Zdwojonym krokiem biegł prawie, nie oglądając się na towarzysza, aż mu ten po wiorście jakiejś takiego przyśpieszonego pochodu przymówił po swojemu:

— Śpiesz się a co tchu, bo tam ciebie wyglądają od rana do nocy! Nabiedowałeś się, jak nie Boże stworzenie, namarłeś głodu, a za grosze ze sprzedanego chleba płaciłeś pisarzy, i list za listem słałeś do swoich! Dużo ci z tego przyszło! Żeby rubla, żeby dobre słowo!.. Anibym ja się tam wydzierał, ani sobie niemi głowę zaprzątał. Rób tak jak ja... Kocha mnie Maciek—kocham ja jego. Kpi ze mnie Maciek, to i ja z niego.

Piotr Stańczak nie odpowiadał, bo się też tak nazwyczaił przez te długie lata, które z Ziębą Jaśkiem przebył z dala od domu. Swoje i nie swoje przepił on zawsze, a kiedy mu wódka w głowie nie mąciła rozumu, to gorszy jeszcze był bez niej jak z nią! Raz mu to nawet po swojemu powiedział z gniewem Stańczak, kiedy od niego na ten swój napitek kilka ostatnich groszy wyłudzał:

— Na! pij, bo już taka widać dola twoja! Marny ty człowiek jesteś, jak ci we łbie gorzała zaszumi, ale kiedy przetrzeźwiejesz, toś wcale nie człowiek.

Szli też i ten ostatni swój przystanek przez większą część długiej nocy jesiennej, i tylko zaspawszy w pogranicznym od Studzianny lesie, opóźnili się na odpustowe nabożeństwo.

Teraz, kiedy Piotra Stańczaka przyniewolił prawie krewniak jego i do karczmy za sobą wprowadził, już tam w rogu po paru półkwaterkach prawił do ludzi Zięba, i cuda im, a dziwy różne o świecie i o sobie opowiadał. Słuchali go z wielką ciekawością, poili chętnie, a na tego drugiego, który wyszukał sobie gdzieś cichego kąta, aby przed ludzkim zgiełkiem schować swój smutek, mało kto zwrócił uwagę. Zbliżyło się zrazu kilku sąsiadów i krewnych; on powitał ich podaniem ręki i dobrem słowem, ale że się do kieliszka nie kwapił, a każdemu odpustowa ochota bruździła już po głowie, więc go pozostawiono samemu sobie.

— Mruk się jakiś zrobił z niego—ni do rady, ni do zwady. Ten Jasiek, to wrócił jak się patrzy—odezwał się jeden z Wieczorków, krewny Stańczaka, nie rad, że się ten od niego boczył tak szczególnie. Po tylu latach wrócić między swoich, i mieć gębę na kłódkę zamkniętą — jak

żyję nie widziałem. Przywtórzano mu, spoglądając z podełba na przybysza, a nikomu w głowie nie powstało, że swoje opuszczenie i swoje sieroctwo na świecie, ten człowiek dzisiaj uczuł po raz pierwszy. Dla nich ci ojcowie żołnierza tułacza pomarli przed dziesięciu laty — dla niego zabrakło ich dzisiaj dopiero. Póki było daleko do domu, póty tęsknoty i smutku, ale póty i nadziei lepszych dni — z dniem dzisiejszym wydało się Stańczakowi, jak gdyby tamto wszystko co wycierpiał, było napróżno. Jedno tylko powtarzał sobie w myśli ciągle:

— Po co ja tu przyszedł, kiedy ja między nimi cudzy człowiek zupełnie. Niepostrzeżenie wyszedł z karczmy, powlókł się ku kościołowi, a kiedy między żebractwem rozsiadłem w rzędzie blizko klasztornej furty przechodził, sięgnął ręką do kieszeni, i garścią miedziaków, które doniósł w progi ojczyste, obdzielał tę nędzę, powtarzając za każdym razem:

— Za duszę Walentego i Elżbiety!.. Za duszę Walentego i Elżbiety!..

Jakoś mu się teraz wydało, że mu lżej na sercu, ale gdy się obejrzał za siebie i ujrzał w zapadającym mroku jesiennym karczmę gorejącą światłem, a przed nią ten tłum niesforny, kłótliwy o byle co, ziejący trunkiem i niepomny zupełnie, co go tu dzisiaj zgromadziło, pomyślał, że tam do nich zanicby teraz powrócić nie chciał. Rzucił okiem dokoła, ale mu jakoś wspomnienia nie dopisały, albo może tu na miejscu zmieniło się tak wszystko, bo drogi do Chrzczonowa zupełnie pewien nie był; pierwszego też spotkanego człowieka, jakiegoś żebraka wiejskiego zaczepił zapytaniem, w jakim kierunku zwrócić się należało. Dziadek to był żebrzący, i w mroku nawet zupełnym widoczną była jego broda biała i takie same spadające przerzedzone włosy, ale szedł raźno, i tylko ten wiek spóźniony i przewieszona przez ramię torba płócienna świadczyły o sposobie do życia, jaki sobie obrał. Na zapytanie rzucone w ciemności obrócił się żywo, i odpowiedział przychylnie:

— Do Chrzczonowa? A dyż i ja do Chrzczonowa. Chciałbym tam ściągnąć choć przed północą, ale nie wiem, czy nożyska doniosą. Ha! dodał po chwili, wysłużyły się i one, to nie dziw, że na starość szwankują. Wzdłuż i wszerz jak świat wielki przemierzył ja go z końca w koniec, ale co tam — co było, to nie wróci, i o tem lepiej nie gadać. A wy, człowieku, zkąd?

— Zkąd? jakby to powiedzieć, to ja naprawdę sam nie wiem, aleć i ja chyba ze świata...

Dziadek zbliżył się i uważniej, o ile ciemność pozwalała, zaczął opatrywać nieznajomego, a że bywalec był w istocie, i z różnych pieców chleb jadał, poznał to zaraz Stańczak z jego uwagi:

— Coś wy mi człowieku tak idziecie, jakbyście sobie nie za pługiem nogi sforsowali; to pomiarkować odrazu, a wyciągnąwszy rękę, dodał tym razem z odcieniem pewności w głosie. A... są i guziki... no, toście chyba żołnierz... jakże?

— Żołnierz jestem, zgadliście.

— To się zaraz poczuje, a zaczekajże, powiedział, tykając już poufale niby starszy młodszego od siebie, i do Chrzczonowa idziesz i żołnierz niby jesteś, to jakże... aha! teraz wiem... toś ty mi dzisiaj dał trzygrośniaka, a nawet żeby prawdę rzec, to i nie dosłyszałem odrazu. Widzisz, choć człowiek biedny nie zapamięta imienia, to tam Pan Bóg i tak będzie wiedział za kogo pacierz. Ale powiedz-że mi, ktoś ty, boć ja cię chyba muszę znać.

— Stańczak. Piotr Stańczak.

— Ho, ho! Co ja mam nie znać?–znam cię przecie. Rosły byłeś chłop i prosty jak świeca, to się też i połakomili na ciebie. No, to niby swoje wysłużyłeś, i do dom idziesz?—kiedy tak, to i dobrze.

— Dobrze, nie dobrze—odparł tamten. Dobrze to byłoby wtedy, żeby był dom i żeby w nim byli ci, których człowiek odszedł, a tak...

— A to ty sobie zuch jesteś widać. Chciało ci się przyjść do gotowego dachu i do miski gotowej. Ba! ktoby nie chciał. A powiedz-że mi, a Maksyma ty w Chrzczonowie znałeś?

— Strzelca pańskiego? a jakże—znałem—co nie miałem znać!

— No, to widzisz i on wydeptał różne drogi po świecie za rozmaitemi sprawami i za różnych ludzi karku nadstawiał, a choćby i za tego, co go strzelcem potem u siebie zrobił, i myślał w dodatku, że on w tej kurcie zielonej po tych samych borach do śmierci się będzie włóczył. A tu, widzisz, Pan Bóg inaczej rozrządził. Lasy dyabeł wziął z żydem do spółki jak swoje, a Maksym wyrabiał się zrazu u ludzi, niby jak ciur ostatni, a potem, jak mu już oczy poszwankowały, i ręka tamta prawa, co to w niej kilka dziur było, schnąć zaczęła, to sobie stary żołnierz i stary strzelec kurtę zieloną zdjął z grzbietu, i pięknie włożył do skrzynki, żeby go w czem pochować było, a przywdział sukmanę starą, torbę płócienną i nasadziwszy jeża na kij, włóczy się od odpustu do pochowku — od pochowku do weseliska i tak już będzie do końca. Aniś się wtedy spodziewał, że kiedyś Maksymowi groszaka dasz za dusze zmarłe–prawda?

— Moi drodzy, to to wy Maksym jesteście?... patrzajcież. Ale że was to stary pan tak ostawił, to dziw okrutny.

— Ostawił... on mnie nie ostawił i nigdyby tego nie zrobił, bo przecież jemu się śmierć nie patrzyła jeszcze... Zkąd? — kto by tam o tem był myślał nawet. Na człowieka grzesznego nieszczęście, to jak na dęba siekiera żydowska. Jednego dnia zniknął mu z domu ten

chłopiec starszy, a patrzył ci w niego jak w słońce i nie wiedzieć co sobie po nim obiecywał, ale to tam jeszcze pół biedy z tem było, że poszedł, boć i on sam w młodości nie inaczej zrobił, ale jak ja mu jednego dnia w rok potem z miasta jakieś pismo przywiozłem, to ci powiadam człeku, jak bym dziś na to patrzył: czyta, czyta, ja z boku spojrzę, a jemu ten papier lata w ręku, tak jakby go utrzymać nie mógł. Naraz zrobił ci się czerwony jak ogień i na ziemię! Już też i słowa nie przemówił potem, a we trzy dni był w ziemi. To tak, widzisz z dolą ludzką.

— To nie ten młody pan siedzi we Chrzczonowie teraz?

— Najprzód nie ten, tylko młodszy, a to widzisz, niby wedle ludzi i ich doli, to wcale nie to samo, a to co ty mówisz, że on siedzi, to także nieprawda, bo też i cała bieda w tem, że wcale nie siedzi. Od początku samego zaraz tak zaczął. Jak mu groszy było potrzeba, to się zjawił na jaki miesiąc, a żydy, nieprzymierzając jakby na trąbki jakie, tak ciągnęły do Chrzczonowa—jak do najuczniejszego rabina przez te parę tygodni. Naraz w nocy niknie z Chrzczonowa, a my o tem, że był tutaj, to dowiadywaliśmy się zawsze z tego, że za każdym razem paru, albo może i kilku włók lasu zabrakło. Już go też tam zostało jak na lekarstwo.

— To tak bory zniszczone u was? Takie bory — na okoliczność całą! I cóż ludzie na to?

— Ludzie, jak to ludzie zwyczajnie. Zrazu to im i płażyła nawet taka gospodarka.

Co chcesz?—jaki taki pragnący był zarobku, to się i radował z tego, że grosz gotowy płynął od żyda. Czy furmanką, czy siekierą zarabiał kto chciał, a ja im ciągle mówił jedno: ciesz się głupi, niby nagi w pokrzywach, bo to tak nieprzymierzając, jakby ci kto powoli dach nad głową rozbierał. Ciesz się, bo też i tyle twego chyba będzie co liźniesz teraz, ale co dzieci twoje, to się jeszcze bez lasu dobrze nabiedują. I dzieci nie będzie trzeba czekać; zabraknie tym, co żyją teraz.

— To tam u was nie bogato w tym Chrzczonowie?

— Co ma być bogato. Pludra sobie jakiegoś na rządzcę sprowadził, a ten zapieka ludziom wiele możności. Ano, zobaczysz sam, jeśli zostaniesz, ale po cobyś tam miał zostawać. Nie pożywi już chyba nikogo ten kawałek świętej ziemi. Żeby się tamten nie był zawieruszył, to nie mówię, ale przy tym pędziwietrze...

— A powiedzcież mi, Maksymie, co się też stało z gospodarką po ojcach?

— Niby po twoich ojcach? Co się miało stać. Pustka! W połowie chałupy siedzi jakiś komornik, i z tej izby i z ogrodu wyrabia

dzień w tydzień—w drugiej połowie okna deskami zabite, a drzwi na kołek, aż patrzeć nie miło. Budynczyska marnieją i tyle...

— A pola?

— To tak: czasem dwór zasieje, a zresztą ugorzy się. Ale oni to tam coś pokręcili i z temi polami, tylko że ja już tego dobrze nie sprostuję, ale wiem, że tam była jakaś szacherka, i gadali w swoim czasie o tem pocichu.

— Toć ludzie wiedzą, to się będzie można rozpytać.

— Ba! dowiesz się od tych co na tem skorzystali—oni też zaraz gotowi ci się spowiadać... ale powiedz-no, dodał po pewnej przerwie Maksym, ty tak się, jakoś przepytujesz jakby cię co ciągnęło do tej gospodarki po ojcu...

— ... Jużci, że ciągnie to prawda. Tak by mi się tam widziało zawsze że tatulo lada chwila wyjdą z za węgła, gadał zwolna zmienionym głosem żołnierz włóczęga i rękawem grubego płaszcza otarł łzę, którą mu wspomnienie z pod powieki wypędziło. Milcząc szli teraz obok siebie, a kiedy w brzasku porannym ukazywać się zaczęły wierzchołki topoli chrzczonowskich, przemówił stary Maksym, wyraźnie tak, jak gdyby przez ten cały czas o tem jednem tylko rozmyślał:

— Ano probuj, kiedy taka wola Boska. Ale że się z tem będziesz musiał nazmagać, to i to prawda. A teraz chodź do mnie, bo chociaż ci ja to dziad niby jestem, ale kąt mam przecie jaki taki dla siebie.

W taki sposób wracał ongi do domu żołnierz z długiej tułaczki.

ROZDZIAŁ II.

Dzień cały przebył Piotr Stańczak w izdebce starego Maxyma. Nie szukał już ludzi, a] na tę chatę tam hen, na końcu samym wioski, niedaleko kościoła — na tę swoją własną niegdyś, spojrzeć niemiał odwagi. Jakie to wszystko liche być musi i zdziczałe—gdzie się podziała praca całego życia tych jego dwojga starych? Ciągle myślał teraz o nich, i stawała mu w pamięci jak żywa ta matka, łamiąca ręce i zawodząca głośno, gdy jego brali w rekruty, i ten przygarbiony w ciągu kilku dni człowiek — w sile wieku, zdrowy i krzepki. Jacy to oni marni i opuszczeni być musieli i jak się chylili do grobu w tej ciężkiej jarzmowej pracy, bez dziecka, które wychowali na podporę starości i niemocy swojej.

Pod wieczór zjawił się Maksym, położył przed gościem swoim bochenek chleba czarnego i sera kęs mówiąc mu:

— „Jedz z Bogiem, bo głodny być musisz, a pamiętaj że to niewyżebrane. Młodość bywa harda i to jej się chwali, a chleb żebraczy gorzki jest i dławiący. Niechciałbym też, aby to był pierwszy, który zjesz na swojej ziemi, bo by ci się przywidzieć mogło, że i ostatni kęs inszy nie będzie. Nic potem żyć z takiemi myślami. Życie— widzisz—to taki twardy kamień, że dobre zęby o niego pokruszysz, a jakbyś go chciał słabymi probować, tobyś daleko nie zajechał. Jedz, a niech Pan Bóg o jutrze pomyśli.

Po dwóch blizko dobach postu, bo niepomyślał przez ten czas jakoś Stańczak o pokarmie, uczuł on istotnie głód potężny, i z energią żołnierza nawykłego do podobnego trybu życia, zabrał się do chleba, który mu się wydał innym zupełnie niż ten wszystek, którym go przez te lat dwadzieścia karmiono. Ale on wcale lepszym niebył od innych. Mógł był nawet być o wiele mniej dobrym, tylko to był ten sam, za którym biegła myśl jego każdego ranka i wieczora — ten uświęcony znojem tylu pokoleń, zraszających z roku na rok potem swoim ziemię — tę chudą, piasczystą, ubogą glebę, tak skąpo opłacającą pracę ludzką. a taką mimo, wszystkiego drogą, taką nigdy niezapomnianą.

Maksym przypatrywał mu się z zadowoleniem, od czasu do czasu wrzucał jakie słowo, a kiedy dojrzał, że Piotr powoli już rusza szczękami, wziął kij swój z kąta izby i powiedział krótko:

— Chodź! Dał Bóg człowiekowi ciało, ale dał po to, żeby dusza miała gdzie mieszkać — zaprowadzę Cię, gdzie potrzeba.

— Milcząc szli po zapadłym już wieczornym mroku, od tej chaty żebraczej, która stała na ustroniu, a była w istocie starą na poły walącą się kuźnią, podpartą i polepioną na takie ostatnie schronisko ubogiego człowieka; zwrócili się w lewo, i po za rzędem chat włościańskich, minąwszy ogrody i łączkę, przebierali się ku wzgórzom piasczystym, na szczycie których stał murem z kamieni opasany czworobok, karłowatemi wierzbami osadzony z zewnątrz, i poprzerzynany w środku w szachownicę. Stańczak domyślał się, że to cmentarz, ale inaczej zupełnie majaczył on w jego wspomnieniach. Zrobił też tę uwagę przewodnikowi swojemu.

— „Dobrze zapamiętałeś—grzebali ludzisków tam naprzeciw kościoła dawnemi laty, ale sobie tam struga drogę obróciła, i coraz bliżej podmywała grunt, tak że się nasz proboszcz zawziął, i choć to u nas chudo zawsze z tym groszem na kościół, ale się jakoś jeden robocizną pieszą, a drugi sprzęgą, a kto zasobniejszy był to i gotówką, dołożył, no i przecie przestano tam chować na dole. „Nie zaznać człowiekowi spokoju przez życie, powiadał na kazaniu ksiądz w te czasy — niechajże ma spokój po śmierci przynajmniej. Tak

rozmawiając, doszli do furty cmentarnej, którą Maksym świadomy zamknięcia, otworzył odrazu.

— Nie mógłbym ja nawet tobie oddać tej przysługi, bo ktoby tam zapamiętał grób człowieka ubogiego, jakim każdy z nas jest, gdyby nie to, że ojciec twój był akuratnie pierwszym, którego pochowano tutaj. Matka pomarli, o ile, pamiętam, później, ale i to baczę także, że po jej śmierci powiedział ksiądz do kościelnego: „Żyli po Bożemu ze sobą, to ich pochować obok; dobrze będzie, choć kiedy może, pokazać ich dziecku. Bo to masz wiedzieć, że on się bardzo o ciebie przepytywał i kłopotał, ten nasz księżysko stary. Ma i on za swoje teraz, no ale to potem o tem. Patrzajże to tutaj te dwie mogiłki; przyległy już w ziemi, bo też to i lat parę ubiegło. No—zmów że tu sobie wieczne odpoczywanie za ich duszę, kiedyś pacierza nie poniechał, a ja sobie pójdę pogadać z moim starym, bo ja tu, kiedy mi co bardzo dogryzie, zawsze do niego przychodzę, tak jak za życia. No! jeśli on tam widzi, co się tu z jego pracą robi, to niech Pan Bóg zachowa, bo to on zawdy ogromnie był do gniewu prędki o byle co.

— No jakże? — lżej ci? pytał Maksym towarzysza swego, kiedy się po jakiejś pół godzinie znowu u wrót cmentarnych spotkali. Od tego ci trza było zacząć, bo raz że takie jest przykazanie Boże, a potem. że ostatnie ich pomyślenie, pewnikiem nie o kim, jeno o tobie było. Pochowajże tu przy nich tę nędzę i tę poniewierkę swoją na świecie, i zapomnij o niej, jak o zmorze co człowieka przez noc udręcza, a bierz się żywo za robotę, skoro ci jeszcze tyle siły zostało, żeś kości jako tako w kupie doniósł na swoje śmiecie. Widziałem dzisiaj po południu księdza; on wie, że to tak jakoś złożyło się i że ty u mnie jesteś, i kazał ci przypomnieć, żebyś jutro od rana szedł do niego, bo ma sprawę do ciebie. Sługa to Boży nie gębą jak drudzy, a uczynkiem. Niby ja to tam wiem coś niecoś o co jemu chodzi, ale że to interes jego i twój, więc niechaj on ci powie sam, a ja to od siebie tylko dołożę, że mogłeś tu gorzej trafić jak trafiłeś. No ostaj z Bogiem, bo mnie w świat iść potrzeba. Izby pilnuj i chudoby mojej marnej strzeż, a rankiem jutro staw się na probostwie.

Przede Mszą jeszcze siedział na ganku przed plebaniją Stańczak jak mu polecono, a po pół godzinie jakiej usłyszał otwieranie drzwi od sieni i suwanie nogami, jak to pospolicie u starych ludzi ma miejsce Wprędce też ukazała się biała głowa Chrzczonowskiego proboszcza, ale że zwyczajem staruszka było nierozmawiać z nikim przed odprawieniem Mszy świętej, więc tylko skinął mu głową przychylnie a mijając, drogę ku kościołowi za sobą wskazał. Znaczyło; to, że po-

słuchanie odłożone do powrotu ze Mszy, a Stańczak, który niedarmo przecież tyle lat chleb żołnierski jadał, na znakach i skinieniach rozumiał się jak żaden z ludzi tutejszych. Taka długa między obcymi włóczęga, jeśli człowieka niezepsuje zupełnie, to go zrobi czujnym, rozgarniętym i bacznym na wszystko.

Po Mszy i po śniadaniu, odprawiwszy wszystkich, którzy z rozmaitymi interesami bieżącymi przyszli na probostwo, zabrał się ksiądz do rozmowy z niewidzianym od lat dwudziestu chrzestnym synem swoim. Szło to zrazu bez ładu i dorywczo, bo starca długie doświadczenie życia zrobiło niedowierzającym bardzo, a tu chodziło o to, żeby się naprawdę dowiedzieć, z kim się miało do czynienia— czy mianowicie był to człowiek pracy i obowiązków, którym warto się było zająć, czy też może taki jeden z tysiąca rozbałamuconych ciem nieregularnem, którzy do ciągłego a ciężkiego trudu rolnego na żaden sposób nałamać się niemogą. Jakie były jego zamiary — co myślał robić ze sobą — czy go nęciła do siebie praca na roli — oto były pytania, na które w długiej z przybyszem rozmowie szukał proboszcz dla siebie odpowiedzi.

Traf zrządził, że się szczególnie spotkali ze sobą w myślach, tylko Stańczak bardzo nieśmiało do tych zwierzeń przystępował, bo i odwykł od takiego interesowania się jego osobą, i nieprzypuszczał nawet, żeby wogóle ktoś bez korzyści własnej zabierał sobie czas cudzemi sprawami i cudzą biedą.

— Więc ty powiadasz, pytał po godzinie może takiego wstępnego badania, że ty byś rad jąć się roli... no to dobrze. Ale widzisz odwykłeś, zapomniałeś, a nawet gorzej, bo ciebie właściwie mówiąc, dzieckiem oderwano od tego zajęcia, a choć to niby u was się mówi, że to nie, pismo żadne ta praca około onej świętej ziemi, ale wierzaj mi że trudniej w tej książce czytać takiemu, co jej długo w ręku nie miał, jak z tych kilkunastu znaków słowa i myśli ludzkie układać na papierze. Ziemia to książka Boża — najprościejszy człowiek duchem potrafi się z nią zżyć i służyć jej poczciwie, a to wy żołnierze macie te swoje obyczaje wolne, i tę swoją pogardę wielu rzeczy, którą ja niechętnie widzę, jak wnosicie między ten lud ciemny, prosty i nie bez wad, ale z natury w gruncie rzeczy dobry — bardzo dobry nawet. Jakże z tobą jest? — powiedz szczerze.

— Albo ja wiem — ani mi za sobą mówić, ani się wysłowić jak wypada...

— Widzisz, mnie trzeba zrozumieć. Z tej wioski jesteś, i do niej wracasz. To bardzo naturalne, a nawet inaczej być nie może, ale w tej wiosce małej i ubogiej, można być tym lub owym — można przynieść ze sobą pożytek albo szkodę. Otóż jeśli ty nie przy-

nosisz pożytku, a zawiesisz się tutaj jako służący czy wyrobnik, to można sobie będzie powiedzieć na pociechę: dziś jest—jutro w świat pójdzie, i złe, jakie w nim jest, zabierze ze sobą. Ale gospodarz, ale człowiek osiadły, to już co innego zupełnie. Najprzód, że taki to już coś znaczy, i ten a ów ogląda się na niego, a potem, że taki to zrasta się z tą ziemią i z tymi ludźmi, których zastaje na gruncie, tu się żeni i dzieci wychowuje, i wedle tego kim jest sam, poprawia albo psuje to co zastał. Ty mnie się nie dziwuj mój kochany, ale ja tego lekko brać nie mogę. Jesteś mi z pewnych względów bliższy niż inni, co więcej jesteś człowiek nieszczęśliwy i opuszczony, ale. że mi się wydaje, iż w pewnym względzie odemnie zależy dopomódz do tego, abyś się tutaj osiedlił na stałe, więc pytam ciebie, przypatruję ci się, i radzę się sumienia, czy robię źle czy dobrze. Jakże — rozumiesz mnie?

— Zdaje mi się, że rozumiem.

— I przyobiecujesz mi, że nie będę żałował tego?

— Na mękę mojego życia i pamięć ich obojga... przyobiecuję.

— Niechże Bóg będzie z tobą i twojem postanowieniem, a teraz jeszcze kilka pytań. Myślisz zostać jak jesteś — czy żenić się?

— Sterany jestem na nic, głowa mi siwieć zaczyna, jak tu i myśleć...

— O widzisz! już jedno jest! Ani mi gadaj o czemś podobnem — ani ja tego słuchać powinienem nawet! Jeszcze czego! A to byś mi tu ładnego gospodarstwa naprowadził... Stańczak stał pomieszany, mnąc czapkę w ręku, bo nie wiedział dobrze, w czem się swojemu protektorowi tak bardzo naraził, ale ten raz wszedłszy na to, mówił długo i przekonywająco, a kiedy skończył i zapytał słuchacza swego, co może na to odpowiedzieć, ten, jako że był w istocie człowiekiem szczerym i otwartym, postawił ostatnią wątpliwość swoją w tych kilku słowach.

— Ja się nie odrzekałbym proszę dobrodzieja, ale kto mię weźmie — która będzie chciała, takiego obieży-świata...

— Głupstwo jest! — nie do rzeczy! To pokaż żeś nie obieżyświat, a człowiek jak należy — pokaż im swoją pracę i swój statek, a ludzie sami o tobie pomyślą. Tylko to sobie zapamiętaj, żebyś mi się niewykpiwał potem, jak co do czego przyjdzie, bo ja na takie rzeczy niecierpliwy jestem. Ba! jeszcze tego by mi tutaj potrzeba. A teraz ostatnie szczegóły. Jest tu w w Chrzczonowie dwie gospodarki właściwie do objęcia, o które można się starać. Jedna, to ta po twoim ojcu, która stoi dzisiaj pustką, a o niej powiedzieć można tylko tyle, że to w całem znaczeniu tego słowa kobyła duża ale chuda. Trzy dni sprzężaju odrobić w tydzień i trzy dni piesze, to nie palcem kiwnąć, a choć to tam niby na to jest z jakie czterdzieści

kilka morgów samej roli ale to nie miód żaden ten dział cały, bo ja to oglądałem nie raz i nie dziesięć, a że tak jest a nie inaczej to masz dowód najlepszy, że i twój ojciec, Panie mu świeć nad duszą! robotnik był jakich mało, a życie przeharował i... nie bardzo się dorobił na tem bogactwie. Tego kramu jabym tobie nieradził, mówił zwolna ksiądz, bacznie się przyglądając Stańczakowi z pod oka i szukając wrażenia, jakie na nim ta ocena ojcowskiej gospodarki wywiera. Zrobiwszy widać spostrzeżenia swoje, uśmiechnął się nieznacznie, i zaczął mówić dalej. Jest tu jeszcze i coś innego, i o tem ja właściwie mówić chciałem. Ta gospodarka, na której teraz siedzi Wieczorek młodszy, to ona będzie zdaje się wolna na Świętego Jana roku przyszłego, bo Wieczorka ciągną tam za Pilicę, a że on ma dzieci małe, więc mu jedną nogą tu zostać, a drugą tam iść nie pozwolą. On by tego chciał i kołacze tam podobno nawet u rządcy ale to na nic. Ta widzisz to znowu co innego zupełnie. Trzy dni sprzęgą, a jeden pieszy tygodniowo, a morgów niby dwadzieścia dwa tylko, ale co to gadać — to tak jak niebo do ziemi nieprzymierzając. Z ojca na syna jedli tam ludzie chleb, a i ten chociażby Wieczorek bez grosza nie jest, a nawet mu się ludzie dziwują, że on to rzuca, i nie jeden mu już powtórzył przypowieść o psie, co to mięso niósł przez wodę. To które miał w pysku puścił, a tego, które w wodzie się przeglądało niechwycił. Ale on się uparł, i postawi na swojem. Otóż widzisz, jabym tobie doradzał pochodzić za tem, i za mojem wstawieniem się może by co z tego było... jakże?

— Kiedy bo ja, to nie wiem dobrze jak zacząć, ale mi się to jakoś w głowie nie mieści wszystko. Co się tam dobrodziej przyczynić zechce za mną, to za pewne dużo znaczy, ale jak mi przyjdzie do głowy, żebym ja tak z dziesięciu palcami jąć się miał za takie wielkie rzeczy, to mię dreszcze przechodzą.

— To też widzisz, ja ci dla tego radzę lepsze a mniejsze, żeby ci było podobniej.

— Kiedy, bo co tu długo mówić, — ja tak na dobrą sprawę to ani do tego, ani do tamtego.

— O cóż tobie właściwie chodzi?

— A no niby z czem — jak? Kiedy ja taki jestem jak stoję,

— No widzisz, toż to przecie pańszczyzna a nie kupno żadne. Chałupę ci wyreparują, zasiew ozimy jest, jary ci wydadzą z dworskiego spichrza, woły założone, wóz i tych trochę narzędzi potrzebnych. to także głowa dworu nie twoja — aż do ogrodzenia obejścia, i poszywki na dachu muszą oni zrobić wszystko. Na konia także pieniądze kasa wypłaci, więc niby cóż tobie pozostaje? Przyjąć parobka, a jak na Wieczórkowym dziale to nawet chłopaka

tylko, i poleciwszy się Opiece Boskiej, jąć się roboty jak wypada a już na to, co zresztą będzie trzeba, to się tam może coś i znajdzie... Zobaczysz, przyjdzie i na to kolej, teraz grunt, żeby się namyśleć o co się starać, i to musisz wiedzieć najprzód ty, no a i ja także, bo jak tu przyjść z żądaniem, kiedy człowiek sam nie wie czego chce. Powiedzże ty teraz, bo ja się już nagadałem, aż mi w gardle zaschło.

Stańczak stał i wyłamywał palce, ale mu zacząć niejako było widać, ksiądz jednak nie patrzył na niego, jakby mu wcale nie spieszno było, i dopiero widząc, że to milczenie przedłuża się zbytecznie, zachęcająco zagadnął.

— Masz coś na sercu, a chowasz w sobie. Powiedz, — ludzie muszą jedni drugim coś zawierzyć, bo jakżeby się mogli porozumieć bez tego — prawda?

— Prawda dobrodzieju, ale mowny ja nigdy nie był z maleńkości samej, a teraz to jeszcze mi niesporzej jak dawniej...

— Nie dobieraj wyrazów, bo to na nic. Najlepsze i Bogu najmilsze to co z duszy do duszy. Mów — ja słucham chętnie; czas mamy, i nikt nam nie przeszkadza. Wystaw sobie, żeś ojca zastał w domu, i po latach mówisz mu to, co ci piersi uciskało.

— Ha żeby to wypowiedzieć to co w duszy, to może by mi się dobrodziej i nie dziwował tak bardzo.

— „Posiwiały moje włosy na słuchaniu skarg i cierpień ludzkich; widziałem złe panoszące się i dobre w poniewierce wielkiej, to też nie sędzią staram się być dla sumień ludzkich, ale pocieszycielem i doradcą. Nie lękaj się — zrozumiałem tylu innych, zrozumiem i ciebie.

— Ej dobrodzieju, siła by człowiek mógł powiedzieć gdyby potrafił, ale jak tu złożyć to wszystko takiemu, co nawet nie wie jak zacząć...

— Zacznij od początku samego.

— Początek, ho! początek, to dawno, bardzo już dawno — zaledwo coś niecoś zostało, ale za to tej trochy starczy mi chyba do trumny samej. Ja zapamiętałem tylko to, że jednej nocy widziałem Ojca, jak stał niemy i głuchy i jakby bez rozumu, a matka rwała, sobie włosy z głowy i raz wraz padała do modlitwy na ziemię, a potem wstawała i biła głową o ścianę, a potem to już przez długi czas nic nie widziałem. Razem ich jeszcze obaczył; ojciec pochylił się i wydawał jakby nie ten sam był co wprzódy, a matka miała takie wypłakane, czerwone oczy, ale już nie płakała w te czasy. Musiało być chyba, że niemogła. Niedługo było tego wszystkiego. Dali mi tam jakieś grosze, które postradałem na pierwszym noclegu, tylko

został medalik z Częstochowską i szkaplerze poświęcane, a i to wiem, że, jak mi to wdziewała na szyję, to mówiła: „módl się dziecko rano i wieczorem jakom cię uczyła, a Bóg cię przyprowadzi w zdrowiu dobrem do domu.” I zostali mi na oczach tacy, jak byli oboje onego dnia—starzy i zbiedzeni, i ciągle w uszach miałem to matczyne przykazanie, ale w to, to już się chyba sam djabeł musiał wdać, bo dla czego ja tego spełnić nie mógł, to ja głupi na to jestem zupełnie. No bo ja chciałem się modlić, ale to tak się działo, że co ja pacierz zaczął, to łzy dławiły — com ustami poruszył a słowo swoje własne usłyszał, to mi się tak dziwacznie robiło, jak gdyby kto duszę kleszczami z ciała wyrywał. Długo tego było, bardzo długo, a ja od tego tak wysechł i zbiedniał, że już myśleli, co ze mnie nic nie będzie. I ja stałem już tak się bać onego pacierza, jak nieszczęścia samego, bo mi nigdy gorzej jak przy nim nie było. Jakże to było i przetrzymać, kiedy ja przy onym pacierzu, wyraźnie jakby na żywe oczy widział ich oboje ciągle, a każdym razem biedniejsi i żałośliwsi byli jacyś. Ot cu to długo mówić—niech Bóg broni każdego człowieka grzesznego od takiej doli! A to wszystko było pół biedy dopóki się było w lazarecie, ale jak z lazaretu, to już do psa z żartami. To ja już sobie na różne sposoby zaczynał przekładać, i tak mówić do siebie: Kiedyby tobie szło o to, żeby skończyć raz dwa trzy, to od tego woda albo postronek, i po wszystkiem, ale jeśli ty duszy Chrześcijańskiej niemasz zagubić, to odganiajże od siebie i tamto wiele sił, bo dwadzieścia lat to nieprzelewki, a jak tak ma być, to ty głupi i do roku niewytrzymasz. No i ja stał odganiać wiele możności było, i mnie zaraz stało być lepiej, służba była dobra, i wszystko inaczej, aby tylko na nich nie patrzeć, aby tylko nie oni, bo już jak oni na pamięć, to i głowa chodziła jak na zawiasach. To tak było tego ze dwa lata, albo lepiej. Jednego dnia pamiętam, to była niedziela, wołają do starszego—niby do rotnego. Rotny był dobry człowiek, i ja u niego był w łaskach, bo mówił że ze mnie żołnierz jak się patrzy, i na służbę: czujduch. Tak on do mnie: Stańczak tu do ciebie pismo, a mnie na to jego powiedzenie takie coś przeszło jakby mróz przez krzyż, i zacząłem jakby z wielkiego zimna, kłapać zębami. Już nie wiem jak tam było dalej, ale aż w innym bataljonie szukać musiał pisemnego, co to przeczytał co oni tam do mnie pisali. Jak ja się o nim zwiedział, to on ze mnie nie mało po tem dziesiątek wydobył, bo co niedziela to ja do niego szedł na to czytanie, ale ja miał z czego płacić, bo w tem piśmie było dziesięć rubli. Te dziesięć rubli to także była moja bieda, nieladajaka bieda. Żeby nie one, toby moje życie sto razy było spokojniejsze. To tak było:

Jakem już ten list z dziesięć razy usłyszał, a te papierki zaszył sobie ze szkaplerzem, żeby tam leżały spokojnie od ostatniej potrzeba, to my, pamiętam, wyszli w pochód daleko, okrutnie daleko. Lato było w te czasy upalne, i tylko tyle człowiek otrzeźwiał co w nocy. To też jak gdzie wypadła dniówka, to jeden i drugi spał gdzie się mógł schować w dzień, a nocą robił co było do roboty, niby tak około siebie. Poszedł ja sobie prać koszulę do strumienia, a wyprawszy zakurzył fajkę, i przypatrywał się miesiącowi co okrutnie na pełni świecił tak samo jak nad Chrzczonowem, i znowu zaczął mi ten Chrzczonów tańcować przed oczami, aie to tak jakbym na niego patrzał. To mi się marzyło, że widzę matkę co przyklękła z sierpem na zagonie, bo już schylona ustać nie mogła dłużej; to znowu widział ja, jak ojciec z fury podając parobkowi snopek żytni na widłach het przez belkę kilka razy napróżno się odwodził, a temu snopkowi nijak poradzić nie mogł. To mi się znowu ni z tego ni z owego przywidziało, że Ojciec sadzi tę śliwinę za obórką i powiada do mnie, bo też to tak i było na prawdę—może na dwa lata przed mojem wzięciem w rekruty — powiada: Słuchaj Pietrek, mówią ludzie że są takie ziemie, gdzie po polach nie sadzą innych drzew tylko gruszki, albo jabłka, i gdzie każdy najbiedniejszy tego daru Bożego ma więcej jak potrzeba, i cały kraj zupełnie inakszy jest przez to jak nasz, i aż się śmieje do człowieka od szczęścia i bogactwa wielkiego. Pamiętaj, ty, jak będą kiedy szły tratwy z drzewem, to ty musisz się z niemi zabrać, żeby obaczyć wszystko, bo człowiek jak na miejscu siedzi, to tyle, że jak ciele wyrośnie na wołu, ale rozumu nie nabierze nijakiego. To tak dobrodzieju było, jakbym na to patrzył i jakbym yszał to wszystko.

— No mów dalej, zachęcał przyjaźnie proboszcz, mów a nieopuszczaj nic, bo mnie to zajmuje bardzo.

— Naraz sięgnął ja do tych szkaplerzy, żeby zobaczyć czy tam wszystko w porządku, bo i trzeba tak było robić, choćby dla tego że to tam w takiej kupie ludzkiej, to jeden od Boga a dziesięciu od djabła, a jak sięgnął, tak i ochota wzięła zobaczyć te pieniądze, bo mi naraz zaświtało w głowie, że to one pieniądze musieli ojciec przeliczać własnemi rękami, a nawet ogromnie się dziwowałem teraz, że mi nigdy dotąd taka myśl nie przyszła.

Prosiłbym też dobrodzieja pokornie nie śmiać się ze mnie, bo ja prosty człowiek jestem, a choć mi dzisiaj łeb siwieje i więcej lat za mną jak przedemną, to jednak chyba to musiało tak być, jak mi się wtedy przywidziało. Rozprułem ja ten woreczek płócienny nożem, odwinąłem z papieru, i zacząłem przeliczać one ruble, a było ich dziewięć jednakich, bo sobie tego dziesiątego rozmieniłem, że to

się już wtedy do fajki wkładać zacząłem, i na tytoń okrutnie byłem łakomy. Liczę ja ono pieniądzę, liczę, a tu z czystego nieba padać zaczynają na nie wielkie krople, takie nieprzymierzając jak przed burzą padają. Tak stropił ja się odrazu okrutnie, bo to i niepodobne było do niczego, żeby z takiej czystej pogody deszcz się mógł wziąść ni z tego ni z owego, więc obróciłem ja głowę ku górze i tak jak mnie dobrodziej widzi przed sobą żywego, tak ja zobaczył tam het głowę ojca jak ociekała potem, a ten pot padał na mnie, a obok niego matula patrzyli we mnie, a i z jej oczów także jedna za drudą spadały łzy na mnie i na te pieniądze nieszczęśliwe.

Z wielkiego strachu zacząłem ja się modlić i osunąłem się na kolana, ale mnie już pacierz nie straszył tak jak w one czasy na początku, tylko mi się tak zdało, że jakby mi Pan Bóg w tę godzinę chciał być miłosiernym, to albo by mnie tam do Chrzczonowa przerzucił, albo dał śmierć odrazu.

Dosiedziałem tam do rana samego nad onym strumieniem, a co ta głowa moja nieprzemyślała przez te godziny, to jabym opowiedzieć niepotrafił nijak. To ja sobie na ten przykład zaczął liczyć wiele to trzeba godzin, żeby na płochej ziemi pożąć i związać kopę żyta, jak się namordować żeby w nagłe źniwa, gdzie dwór woła o sprzęgę, kraść nocami te rzadkie mendle do własnej stodoły, jak to później trza zimą tłuc cepem te snopki, w których więcej groszku i kąkolu jak ziarna, a że rychtyk jakem ja odchodził, to ojciec sprzedawał korzec żyta nie po całe pięć złotych, to mi naraz potem taki się w głowie rachunek z tego zrobił, że zacząłem łbem tłuc o kamienie, ale to tłuc na rozbicie. To mówię dobrodziejowi jak na świętej spowiedzi, że i ten pies co to chwyta zębami rękę, która się do niego z chlebem wyciąga, wydał mi się nie taki podły i niewdzięczny, jak ja byłem przez one dwa lata po mojem wyjściu z domu. Ani ja o nich pomyślał, ani ja za nich pacierz jeden zmówił, a oni tam te grosze krwawe składali jeden po drugim, oni sobie od gęby odejmowali i tak ciułali...

I zapłakał wielkim głosem ten człowiek dzisiaj stary zmęczony, zapłakał nad winami swojej młodości, nad słabością swoją i niezgadzaniem się z wolą Bożą, która jedna tylko wie, jakiemi drogami prowadzi człowieka do celu sobie wiadomego. Stary ksiądz otarł ukradkiem łzę, która mu się w ciągu tego opowiadania mimowoli ukazała w oku, i głosem poważnym a życzliwym przemówił do tego biedaka.

Nie oskarżaj się bez potrzeby, boś ty winien nie był w gruncie rzeczy. Ciebie samego żarła tęsknota za rodzicami i za domem twoim, i nie z obojętności ani zapomnienia takeś się lękał myśleć

o nich. Zresztą o co ci chodzi mój drogi? Miłość rodzicielska to takie wielkie uczucie, które się o wdzięczność nie targuje i zapłaty nie żąda. A dyż i tak gorzko ci tam było zdala od nich, i radbyś był jednej godziny do nich się wyrwać.

— „Eh później to ja już nieodganiał od siebie tej mojej biedy całej, ale mi też z dnia na dzień gorzej i cięższej było, a najmarkotniej to pono wtedy, kiedy już całkiem pisywać przestali... Żeby ja się przez ducha świętego był spodział, że ich Pan Bóg już zabrał w te czasy! A mnie tak coś oślepiło, że jak na umówionego ja szedł tutaj do nich, i Bóg wie nie jak obiecywał sobie wysługiwać im się za wszystkie lata. To też i teraz jak mi dobrodziej obiecuje, żebym ja mógł tu się objąć jakiej gospodarki na Chrzczonowie, to już ja niechcę ani tej lepszej, ani innej jakiejkolwiek, choćby ona złote kłosy rodziła, jeno tej samej, bo mnie ona z głowy niechciała wyjść na żaden sposób. Jeśli ma być która, to niechajże będzie ta, o którą ja proszę, dodał schylając się do ręki księdza.

Ha! niechże, będzie jak wola twoja! A żebyś sobie niemyślał, że aż taki jesteś biedny jak ten oto Maxym, u którego zamieszkałeś, to ci powiem, że podobnie zła dola ci nieprzypadła. Na kilka dni przed śmiercią rozdzielił twój Ojciec co miał gotowego grosza między matkę i ciebie. Matce zmarło się prędko, ale z tych groszy co ona miała, to ja już nic dla ciebie ocalić nie mogłem, bo je tam zabrali ludzie jacyś krewni, do których się ona po śmierci ojca przeniosła. Za to z twojemi własnemi pieniędzmi poszczęściło mi się nie zgorzej. Było tego koło 200 rubli i narazie niewiedziałem nawet co z niemi zrobić, ale się znalazł kachał żydowski w Żarnowie w jakiejś potrzebie, i szukał funduszów. Że to byly sieroce pieniądze a przedstawiono mi pewność należytą, więc niedługom się namyślał, i wziąłem większy nieco procent, niżby księdzu przystało wziąść dla siebie. Tego procentu ja nieodbierałem od nich wcale, i tak z roku na rok doliczając doszło do tego, że ostatni ich rewers jest na 300 rubli z górą, po latach dziesięciu. No to widzisz sam, że taki znowu ostatni biedak nie jesteś. A teraz kiedy taka wola twoja poczciwa, że koniecznie chcesz pod ojcowską strzechą osiąść na resztę twego życia, to ja nietylko ci tego nieganię, ale owszem z tym niemcem interes przeprowadzę, bo on pod pewnym względem to się musi niby ze mną rachować. Bądźże spokojnym a podziękuj Bogu za to co jest, boś mógł do sieroctwa swego być jeszcze pozbawionym jakiegokolwiek zasiłku na początek.

Jakoż w dwa miesiące objął Piotr Stańczak opustoszałą od lat dziesięciu gospodarkę po swoim ojcu.

ROZDZIAŁ III.

Takich coby własnym karkiem swoim jarzmo pańszczyzniane ciągnęli, mało już jest między ludźmi. Czy było trochę lepiej w takim kontrakcie dzierżawnym, czy trochę gorzej, zawsze była to tylko dzierżawa, i do sposobu posiadania dzisiejszego w niczem taki układ podobny nie był. Nazywamy go dzierżawą, bo takie było jego znaczenie. Po prostu mówiąc, odcinał właściciel wielkiego kawała ziemi część swoich gruntów, łąk i pastwisk, stawiał na nich osady włościańskie, na których osiedlali się ci, którym się taka umowa i taka dzierżawa podobała. Od innych większych dzierżaw różniła się ona tem głównie, że gdy dzierżawca duży całego majątku, płacił swoje raty gotowemi pieniędzmi, ten mały dzierżawca płacił swoje, równomiernie na rok cały rozłożoną, robocizną. Mógł gospodarz pańszczyzniany trzymać parobka i każdy prawie trzymał go u siebie, a w takim razie na łanie dworskim sam się stawić nie potrzebował, pilnując swoich robót, zbiorów i omłotów. Zależało wszystko od tego, aby z jednej strony nie było zbytecznych wymagań, a z drugiej próżniactwa i nieakuratności, a skoro się taki stosunek ułożył, to znalazła się możność i odłożenia grosza, i stopniowego przychodzenia do dobrobytu, zwłaszcza gdy ziemie były żyzne i zdawna starannie uprawne, łąki wydajne, a pastwiska dostatnie. Ważnem też było bardzo, czy właściciel majątku był człowiekiem dobrym i po Chrześcijańsku rozumiejącym swoje obowiązki względem uboższych, czy przeciwnie; a najgorzej działo się wszędzie prawie tam, gdzie majątek był zbyt wielki, i taki dziedzic dużych obszarów posługiwał się zastępcą swoim, który wówczas nazywał się rządcą, albo komisarzem.

Trzeba powiedzieć, że Chrzczonowowi, w czasach, o jakich mówimy nieszczególna dola przypadła. Stary dziedzic, jak to słyszeliśmy z ust jego dawnego strzelca, a dzisiaj żebraka, zmarł nagle dowiedziawszy się o śmierci syna, a na tem straciła zarówno i służba dworska i pańszczyźniani gospodarze, bo tamto był człowiek pracy, sumienny i staranny gospodarz, któremu] po sercu było, kiedy u niego na folwarkach i we wsiach zarówno, świeciło się wszystko od pomyślności i dobrobytu; a do takiego stanu nadmiernem wymaganiem robocizny i uciskiem dojść nie można było w żaden sposób. Musiał taki gospodarz mieć czas dla siebie na roboty, musiano mu folgować w potrzebie i dawać zapomogi, gdy go spotkała klęska, bo inaczej byłby podupadł i on i jego gospodarstwo, a tego zmarły dawny dziedzic Chrzczonowa nie byłby za nic dopuścił.

Ledwo jednakże spoczął on w ziemi, inna zupełnie nastała gospodarka. Syn jego, sprowadziwszy rządcę niemca, oddał mu mienie swoje i powierzył losy ludzi, których jemu samemu Opatrzność powierzyła, i można powiedzieć, że z roku na rok gorzej się w Chrzczonowie działo. Niemiec robił wprawdzie tak, że się na oko wszystko świeciło, jeszcze może lepiej niż dawniej, ale miał on swoją sztukę prowadzenia rachunków, przy pomocy której dochody dostawały się do jego kieszeni, a dziedzic zadawalniać się musiał obiecanką roku przyszłego i przekleństwami na ludność miejscową, której inaczej jak polskiemi ś... i nie zwykł nazywać. Topniały też lasy dworskie tak szybko, że ich, jak sprawiedliwie powiedział Maksym, na lekarstwo zaledwie zostało; służby dworskiej, która dawniej trzymała się tutaj do śmierci, nie można było nigdy do roku utrzymać, a wieś odznaczała się od innych sąsiednich poobalanymi płotami, dachami odartymi i tym ogólnym wyglądem, który na pierwsze wejrzenie mówi zaraz, że się tu bieda z opuszczeniem i niedbalstwem za ręce wzięły. Podupadać zaczęli ludzie, jaki taki wydobywał stary, zapasowy grosz, dobytek marniał, ubywało nawozów, a więc i na polach nie tak było teraz we Chrzczonowie, jak niegdyś—zupełnie nie tak. Jaki pan taki kram, powiadają ludzie i dobrze powiadają.

— W takich warunkach objął Piotr Stańczak opustoszałe gospodarstwo po swoim ojcu. Zapomniał ten święty kawał ziemi, że miał kiedykolwiek pana nad sobą. Dziesięć lat nienawieziono tam ani jednego zagona, a cztery razy zbierał dwór, i sprzęt cały wraz ze słomą szedł do stodół dworskich. A że nadto ziemia cała na Chrzczonowie z natury była uboga, więc jednem słowem, było to piaszczyste, chude i do szczętu prawie wyjałowione. Zaszła przytem na niekorzyść jedna jeszcze zmiana to jest, że jedno pole zamieniło z osady Stańczaka czterech Chrzczonowskich gospodarzy w porozumieniu z rządcą, którego naturalnie jakimś datkiem ująć sobie musieli, skoro im na to nadużycie pozwolił. W zamian za tamten dział, względnie najlepszy ze wszystkich, i najbliższy sadyby, dali ze swoich jakieś wzgórza piaszczyste—prawie, że nieużytek czysty, który nadto tę miał jeszcze dwie strony złe, że był bardzo daleko położony i składał się z trzech nieprzylegających do siebie kawałków. Tym sposobem wartość gospodarstwa Stańczakowego odrazu znacznie zmniejszoną została, a on sam, pomimo, że proboszcz dowiedziawszy się o podejściu, chciał tego dochodzić, nie oceniał krzywdy jak należy — ot tak z żołnierskim zamachem schwycił się roboty, jak zwyczajnie człowiek spragniony pracy na swojem i z natury nie skłonny do zwad i procesów. Ostrzegał go i Maksym, że to z wielką jego szkodą stało się to podejście, ale kiwnął tylko ręką powiedziawszy, jak to miał we zwyczaju:

— Bierz ich tam czart szachrajów! — przecie i tak z głodu nie umrę.

Umrzeć nie umarł, ale uznoiwszy czoło nieraz mu przyszło stanąć zamyślonym i przypatrywać się, jak na tych jego wydmuchach kłosek od kłoska na piędzie był odległy, a jak zaczął rachować sobie wszystko, to się przekonał, że zawieziona na to wygnanie fura nawozu była pieniądzem na czysto zapożyczonym ziemi bez nadziei zwrotu. Nieustawał jednak w pracy, a poprawy losu czekał cierpliwie.

Przybyły z nim do Chrzczonowa Jasiek Zięba towarzysz żołnierki długoletni, któregośmy wraz z nim w Studziannej poznali, inaczej zupełnie zabrał się do rzeczy. Każdy z nich takim pozostał, jakim był w wojsku. Akuratności, pracy i szczerej naturze Piotra Stańczaka godnie odpowiadały niestatek i opilstwo Zięby. Odrazu wyrzekł się on jakiegokolwiek stałego zajęcia, służby i określonego obowiązku, odpowiadając każdemu, kto mu podobną zrobił propozycyę, że nie po to mu zmarniało życie, na słuchaniu trąbki i bębna, żeby sobie przede śmiercią byle komu dał przewodzić. Wyrabiał się tak z dnia na dzień, raz w tem, to znowu w innem miejscu—to we dworze, to po gospodarzach we wsi, gdy po zatrzebowano, a różnica w zarobkach ograniczyła się dlań do tego, że zapłatę na wsi odbierał tego samego dnia i przepijał ją od ręki w karczmie, a dzień jutrzejszy przeleżał bezczynnie, podczas gdy chodząc do dworu, musiał wytrwać od poniedziałku do soboty, a dopiero po niedzielnej wypłacie zazwyczaj dwa albo trzy dni zmarnował—zawsze wedle tego, jak mu zarobionych pieniędzy starczało. Pił dopóty, dopóki mu ostatniego grosza karczmarz nieodebrał. Raz tylko jeden zdradził swoje zamiary chwycenia się zajęcia stałego, ale tutaj miał wyrachowanie oparte na dobrej znajomości swojego wojskowego kamrata. Było to tak:

Zaraz z wiosny, kiedy się rozpoczęły roboty w polu, zaszedł on rankiem do Stańczaka, a był to dzień jego próżniaczki, i właśnie na ranny kieliszek zdążał do karczmy. Zastał Zięba świeżego gospodarza, jak parobka z wołami na pańskie wyprawiał, a sam szedł z koniem włóczyć przedwczoraj zasiany działek. Słyszał właśnie, jak upominał Stańczak służącego, aby mu wołów nie nękał, tak jak zrobił już po kilka razy, i dlatego mówił trochę ostrzej niż zwykle, i z pewnym naciskiem. Kiedy się już tamten oddalił w stronę dworskiego łanu, przeprowadzał Zięba Stańczaka i po drodzę zaczął z nim rozmowę:

— Jakoś mi się widzi, że ci parobek nie do smaku—co?

— A nie. Licho trafiłem na początek. Tuby trzeba prawie, żeby on więcej wiedział odemnie, bo przecie mnie to wszystko pierwszyzna nieledwie po tylu latach, a jak na złość dostał mi się śpioch i niedbalec. Ciężko będzie z nim rok przebiedować.

— A cobyś ty powiedział na to, żebym ja się u ciebie służby objął?

— Ha cóż? Nicbym nie powiedział.

— No to i dobrze, kiedy się zgadzasz, bo ja sobie tak pomyślałem kiedyś, że dla ciebie to by było najlepiej. Robiłbym ci tak jak sobie samemu...

— A tobyś mnie dobrze wykierował, odparł ze śmiechem Stańczak.

— Więc ty nie chcesz—to ty gardzisz starym kamratem... A kiedy tak, to znowu co innego... a ja myślałem, że jak ja do ciebie z dobrem słowem przyjdę... No, to ja tobie teraz co innego powiem, kiedyś ty tak zhardział na tej twojej wydmie...

— Co ty mnie tam powiesz, czegobym ja naprzód nie wiedział...

— Powiem ci, że dłużej mojej biedy, jak twojego państwa, a za jakie kilka lat to zobaczymy, kto się przeniesie po śmierci starego Maksyma do jego budy—ty czy ja. Patrzajcież moi ludzie, jak się to boczy od człowieka...

— Słuchaj że ty mnie, zawołał gniewnie Stańczak, podrażniony naprawdę wśród niepowodzeń swoich tą wróżbą żebraczej torby—słuchaj ty mnie, a ja tobie raz powiem, co ci się ode mnie należy. Mało ja tam miał ciebie na karku, żebym sobie tu jeszcze drogę tobą miał zawalać? Co? Czy ci już wywietrzała razem z gorzałką z twojej głowy, wiele ja się biedy najadł przez ciebie? Kto za ciebie pijaku na służbę chodził? Kto ci broń czyścił i ubranie, żeby tobą jak psem się nieprzepędzano? kto ciebie w pochodzie wlókł milami całemi, żeby cię potem, jak w rowie nosem zaryjesz, niesztrafowano hę? Zabaczyłeś o tem wszystkiem, no ale ja nie zabaczyłem i to ci powiem, że mam dosyć ciebie. Idź ty swoją drogą, a ja pójdę swoją!

Odtąd miał Stańczak w Jaśku Ziębie nieprzyjaciela nieprzejednanego.

Nieosobliwie jednak szło Stańczakowi na tem jego gospodarstwie. Pomoc męzka była najemna, kobiece gospodarstwo powierzono najemnicy, więc dużo tam było zaniedbania i wiele jego własnej pracy szło na marne. Nie upłynęło i półtora roku, a sam przyznać musiał, że to tak dalej iść nie będzie mogło. To też choć mu żeniaczka naprawdę w głowie nie była, choć się czuł człowiekiem nie tyle starym, ile steranym przedwcześnie, zaczął dawać więcej posłuchu ludzkim namowom i swatom, jak z początku. I tu jednak trzymał się w granicach wskazanych przez zdrowy rozsądek. Kiedy mu kładziono w uszy o jakiej młodej dziewczynie, gospodarskiej córce, kręcił głową przecząco i kiwał ręką, jakby chciał przekonać, że o sto mil takie myśli od niego, a miał przyznać trzeba swadźby wszelakiej poddostatkiem, bo i nie było we wsi, ba! nawet dalej, człowieka, któryby nie przyznawał, że jak tam było tak było, a jednak ten stary żołnierz jest z takich ludzi, którym, jak to mówią, ma się „*nie z chleba* ale *na chleb.*" Gospodarka łajdacka, mówili

wszyscy, ale robotnik na niej uwzięty. Zbogacić się nie zbogaci, ale i biedzie się nie da.

U proboszcza bywał często, więc kiedy mu powiedziano o jednej bezdzietnej wdowie po komorniku, i kiedy się własnemi oczami przypatrzył, jak ona sobie mądrze radzi, jak koło niej czysto choć ubogo, poszedł na—plebanię zapytać się, co o tem myśli stary proboszcz.

— Jak raz dla ciebie, powiedział mu ten odrazu, a nawet przyznam ci się, że jakem ją raz u siebie we żniwa zobaczył na zagonie, tom sobie pomyślał, że powinieneś na nią zwrócić uwagę. Byłbym ci o tem wspomniał z pewnością tylko, że to księdzu niejako wdawać się w takie sprawy. Bo potem niechżebyście ze sobą zgodzić się nie mogli, i życie wspólne nie poszło wam ręką, to i gotowy dla mnie wyrzut sumienia,żem się wdał w nieswoje rzeczy. Skoroś jednak zaczął sam, to ci powiem krótko: z Bogiem!

— Tak i ja sam mówiłem, i chyba że się na tem skończy.

— A wiele to ona ma lat?

— Co tam lata! Ja na to nie patrzę...

— Ano patrzysz czy nie patrzysz, ale widzisz ja powinienem patrzeć za ciebie. Nie mówiąc już o czem innem, trzeba ci wiedzieć, że starsze kobiety bywają gderliwe, a ty mi się trochę gorączka wydajesz. Zresztą żołnierz jesteś i lubiłbyś u siebie rozkazywać pewnie... no jakże nie prawda?.. A widzisz... sam przyznajesz. Niech-żeby ona także się taka akuratnie trafiła, no to by tam i niewiele spokoju u was było. A może tak być bardzo, boć to i ona wdową jest od lat kilku i nawykła już sobie być panią. Jakże?

— Gadają ludzie, że jej się trzydzieści pięć skończyło.

— Ano, to tak prawie jak wypada. Rądzę i z serca życzę, żeby było dobrze. Bogu na chwałę a ludziom dobrym na pożytek i przykład!

Z temi słowy odprawił staruszek swego chrzestnego syna, i niminęły dwa miesiące całe od onego dnia, a Piotr Stańczak miał u siebie w chacie gospodynię i żonę, jakiej w istocie nie mógł był znaleźć na około, choćby się przez lat kilka był rozglądał.

Po roku pożycia urodził się Stańczakom syn, któremu na Chrzcie Świętym, przez pamięć na dziadka dano na imię Walenty. Tak chciał ojciec koniecznie, i choć inne sobie imię przyniosło dziecko, nie sprzeciwiał się, jakto zwykle bywało, proboszcz dowolności takiej, a nawet z tej racyi parę słów serdecznych przy chrzcielnicy do zebranych kumów i krewniaków powiedział:

Ludzie moi! w tej czci dla pamięci zmarłych ja czerpię otuchę dla przyszłości waszej. Niezapominajcie nigdy o tych, którzy przed wami zlewali tę drogą ziemię potem swoim. Szanujcie słowo ostatnie, które wam powiedzieli stygnącemi usty—strzeżcie ich obyczaju i wiary, pielęg-

nujcie drzewo każde które posadziła ich ręka, pozwólcie im żyć jeszcze po śmierci wśród was, i opowiadajcie dziecku waszemu o każdym ich uczynku, każdej trosce i cierpieniu po Chrześcijańsku znoszonem. Niechajże tedy i to niemowlę błogosławi na żywot imię cichego i bogobojnego pracownika, który był jego dziadem...

Piotr Stańczak wychodził z kościoła nadzwyczajnie wzruszony, i można powiedzieć, że w tej chwili zrodziła się w sercu jego miłość, o której dotąd pojęcia nie miał żadnego. Był jakiś szczęśliwy i silny, i do pracy bardziej ochoczy jak przedtem, tak, jak gdyby się przed nim coś otworzyło nowego a nieznanego, ku czemu szedł z wyciągniętemi rękoma. To coś, to była przyszłość jego dziecięcia — to miłość ojcowska, ów wielki dar udzielony sercu człowieka przez Opatrzność, aby zmęczony i upadający w trudzie życiowym nie ustał.

Zabrał się tedy Stańczak do chleba ze zdwojoną energią, a nie było to natężenie pracy wcale zbytecznem, bo w istocie słabo opłacała ludzką pracę ta jego ojcowizna. Jeszcze tam jakiś rok przekropniejszy, to się można było w odleglejszych—a zatem słabiej nawożonych działkach, odważyć na jarzynę, ale jak tydzień dobrego ciepła bez deszczu, to wątlało i nikło wszystko na oczach, a niechby dwa, to jużeś widział, że zachód całego roku i nadzieja na marne poszły odrazu. To też nie dziw, że kiedy go trzeci już może z rzędu zawód podobny spotykał, przechodził z gniewem obok działów, na których zdrowa i żywa kołysała się roślinność— rozumie się tych działów, które tak niepoczciwie pozamieniali sąsiedzi podczas jego nieobecności w Chrzczonowie. A pokazał mu te kawałki wszystkie Maksym, tak jak były dawniej, kiedy je ojciec jego uprawiał, i zachęcał do poszukiwania swoich praw, niezaprzeczenie słusznych. Raz nawet poszedł Stańczak w tej sprawie do rządcy, ale nie można powiedzieć, aby tam rzecz swoją pomyślnie załatwił.

— Patrzajże, jaki to z ciebie mądrala, szydził rządca niemiec, łamaną polszczyzną. To jakeś ty brał gospodarkę, to tobie było dobre to wszystko, a jużeś teraz tak się napracował, że ci źle i niedogodnie. A ja tobie sam przecie pokazywał twoje pola, i mówił gdzie, co i jak. Jakże, nie tak było?

— Tak było, ale ja robię z tej gospodarki tyle co mój ojciec robił, a nie mam tego co mi się należy, i co miał on.

— Co ci się należy. Tobie się należy to co masz i na coś przystał.

— To co moje to jest na mapie. Niech pan zajrzy, to pan obaczy.

— Tak cię nauczyli—to idź do nich, niech ci sprawiedliwość zrobią. A nie gadaj mi tu „moje" bo to tak samo twoje, jak moje — rozumiesz?

— Rozumiem, ale i to rozumiem, że póki moja praca jest pańska, to póty pańska ziemia jest moja. Jak przestanę robić, to nie będzie moja.

— Patrzajże, to ja nie wiedziałem, jaki ty ptak jesteś. Powiem ja o tobie gdzie trzeba, to się ani opatrzysz, jak wyjedziesz z Chrzczonowa.

— Zmówili się i okradli nas ni za to za owo, mówił tego wieczoru zgryziony naprawdę Stańczak do żony. Niech ich... i zaklął po żołniersku prawdziwie.

— Dałbyś pokój, przekładała kobieta, szwab wart licha to prawda, ale przyjedzie pan, to się uskarżysz i sprawiedliwość ci zrobią.

— Nie zrobią. Pytał ja się już ludzi. I ksiądz i Maksym jedno mówią. Ani on o mnie wie, aniby mu to w głowie było, choćby i wiedział. Między kilkoma siekierka zginęła, to jej nie odnajdziesz, a podwodzi na mnie i Zięba po chałupach, to choć ja nie krzyw nikomu, to na mnie patrzą, jak na nieprzyjaciela. Aż się przykrzy człowiekowi. Wszedłem pomiędzy swoich niby, a tak mi tutaj, jakby mi wszyscy na zdradzie stali.

— Ofiaruj krzywdę Panu Bogu, a nie pomstuj, bo się jeszcze na dziecko twoje klątwa obróci.

Wiedziała mądra kobieta czem trafić do męża. Jak mu tylko chłopca wspomniała, pokorniał stary żołnierzysko, jak baranek. Ale z drugiej strony powinna też i ona była wiedzieć, że jemu właśnie nie o siebie, a o to dziecko chodziło. A chłopak tym czasem rósł zdrowy i prosty jak dębczak młody, i już mu się na szósty rok miało, kiedy przyszło uwłaszczenie.

ROZDZIAŁ IV.

Własność, to jest wielkie słowo—słowo pełne znaczenia.—Własność, ludzie dobrzy i mądrzy starają się na wszelkie sposoby zabezpieczyć, a źli, lekkomyślni i przewrotni nakręcają to pojęcie do celów występnych. Bez prawa własności praca byłaby nienagrodzoną, bez własności trudziłby się uczciwy dla zaspokojenia potrzeb nikczemnika próżnującego, bez własności nie byłoby powagi ojca wśród rodziny, ani spokoju o los dzieci tego, który umiera. Pracownicy rolni, ci właśnie dla których prawo posiadania jest najważniejszem, długo bardzo przyjść do niego nie mogli. Był czas kiedy zależnymi byli zupełnie od woli tego, który ziemię posiadał, później zależność zupełna zmieniła się na ograniczoną i warunkową, a nakoniec nadeszła chwila, w której stać się mieli posiadaczami bezwarunkowymi—właścicielami w całem najobszerniejszem rozumieniu tego wyrazu.

Na Piotra Stańczaka podziałała ta zmiana w sposób szczególny. Chciwym nie był nigdy, ale pragnął niezależności zupełnej od czyjej—kolwiek woli, i dziwić mu się nie można, bo zbyt długo mu zawisłość dokuczała w życiu. Samo zajęcie na roli pociągało go niezmiernie, ale

ile razy przyszło mu zobaczyć zagrodę jakiegoś okupnika, gospodarza czynszowego, albo kolonisty w jednej z królewszczyzn, wzdychał tylko i rozmyślał o tem, czem się też to taki człowiek zasłużył Panu Bogu, żeby mu danem było na ziemi tak niezmierne szczęście.

Naraz dowiaduje się, że on zostaje jednym z takich. Na osadzie swojej liczącej czterdzieści pięć morgów, on będzie teraz panem nieograniczonym. Ani jednego dnia pańszczyzny, ani jednej godziny przymusowego najmu! Nic zupełnie nie będzie obowiązanym robić, oprócz kilku dni szarwarku na wiosnę i jesienią; żadnych ciężarów spełniać nie ma oprócz podatku, który przecież nie wyniesie nawet przez rok tego, co jego dni pańszczyzniane z dwóch tygodni. Taki mu rachunek zrobił w przybliżeniu proboszcz, bo co prawda to nie wszystkiemu wierzył, co ludzie o tem zapowiadali na jakiś czas przed urzędowem ogłoszeniem.

Nie można się dziwić Stańczakowi, że czując się tak hojnie nagrodzonym przez Opatrzność, zajął on odnośnie do dworu odrębne niemal od całej gromady stanowisko.

Dla wszystkich sąsiadów jego rozpoczęła się teraz dopiero pora pretensyj. dopominań, wymagań, dochodzeń, skarg i procesów, podczas gdy on, nieoswojony jeszcze z pomyślnością swoją, o niczem nie myślał tylko o tem, żeby ktorego ranka obudziwszy się, nie przekonać się, że tamto wszystko snem było tylko. Żądania gromady co do służebności leśnych, pastwisk wspólnych i innych dodatkowyoh uposażeń zbywał milczeniem, nie biorąc w burzliwych naradach takiego udziału czynnego, jakiego się od niego spodziewano.

— Z was Pietrze, mówili mu starsi od niego gospodarze Chrzczonowscy, z was to niewiadomo jaki człowiek. Niby z nami jesteście, i taka dola wam, jak nam, a trzymacie się jak ten, co ma złe na myśli.

— Czego chcecie odemnie?—pytał.

— Chcemy żebyście gęby nie mieli na kłódkę zamkniętej, jak macie. Żołnierz z was stary, i powinniście językiem za nas wszystkich obracać, a was, jak komisarz zapyta, to albo odpowiecie byle co, albo jeszcze gorzej. Bo jak ty człowieku powiesz, że niewiesz nic, to tak dobrze jakbyś rzekł, że gromada łże i sama nie wie czego chce.

— Jak mówię, że nie wiem, to znaczy, że nie wiem. Jakże chcesz jeden i drugi żebym powiedział? Albo, ja był przy tem, jakeście wy się po śmierci dziedzica prawowali o pastwiska? Albo ja pamiętam, jakie wy przed 48 rokiem dostawali drzewo na reparacye, i jakie fury zbieraniny, kiedy ja wtedy w wojsku służyłem, a przed wojskiem to przecie ja parobczakiem byłem, i nie moja, a ojca głowa myślała o tem wszystkiem. Czego się mnie czepiacie próżno?

— Powinniście świadczyć za gromadą.

— Niech świadczy ten, co wie, jak było i kiedy — ja nie wiem, a zresztą, albo to bezemnie mało wrzasku po karczmach, i przed dworem, i w gminie robicie. Prawdę rzekłszy, to mnie się już naprzykrzyło chodzić z wami. Roboty w domu zalegają, a u was sejmy w głowach i prawowanie tylko.

— Łasisz się dworowi — myślisz, że ci za to zapłacą, jak gromadę sprzedasz.

— Powtórz no to coś powiedział, zawołał raz jeden Stańczak, gdy mu tak do oczu zdradę zarzucano. Powtórz! krzyknął, zrywając sią do jakiegoś podchmielonego niespokojnika, który od czasu, jak go na kilku morgach uwłaszczono, od rana do nocy w karczmie przesiadywał, radząc jednym, podjurzając drugich—od wszystkich przyjmując poczęstunek i obietnice.

Jak widzimy nieosobliwie był w tych gorączkowych czasach położony Stańczak u gromady, a to jego stanowisko z osobistych względów wkrótce pogorszyć się jeszcze miało. Razu jednego zawołał go do siebie proboszcz, i odrazu przystąpił do rzeczy:

— Chciałem ci powiedzieć, choć nie wiem ja dobrze, jak się to takie rzeczy u was tam dzisiaj robią, ale z tego co mnie Maksym mówi, który znowu we wszystko nos lubi wścibić, to chyba teraz pora dla ciebie upomnienia się o swoje. Mają was tam mierzyć, regulować, prostować wasze granice od dworu, i kopcować raz na zawsze, więc nie zasypiaj ty gruszek w popiele, bo jak zaniedbasz teraz, to potem będzie za późno. Cóż tak milczysz, jakby ci było nie w smak?

— Jużci że nie w smak. Odwracają się od człowieka, jak od zapowietrzonego, ni za to ni za owo, a jak ja jeszcze teraz napocznę, to mi przez wieś przejść nie dadzą spokojnie.

— Wprawdzie ja ksiądz jestem, i do zwad a kłótni ludzi zachęcać niezwykłem, ale krzywda ci się stała prawdziwa, i będzie to ze szkodą dziecka wielką. Zamienili ci a raczej zaszachrowali dziesięć morgów gruntu dobrego, a wpakowali za to piasek lity—jakże tu nie upomnieć się o swoje?

— Kiedy nawet nie wiem, jak z tem zacząć.

— Słuchaj, rzekł ksiądz po chwili namysłu, sprobuj ty jeszcze raz do dworu, a raczej do rządcy, a staraj się wywiedzieć, czy oni dworską mapę przedstawili komisarzowi, czy nie. Jak się rozmówisz i wymiarkujesz, jak to tam jest, to przyjdż i powiedz mi co robić—potem zobaczymy.

Stańczak posłuchał, ale nie więcej pożytku przyniosła mu ta druga z rządcą niemcem rozmowa, jak pierwsza. Przy wstępnych zaraz słowach ofuknął go z miejsca tamten:

— Właśnie ja nie mam nic do roboty lepszego, jak mieszać się pomiędzy was. Procesujcie się, wydzierajcie sobie, łby urywajcie jeden drugiemu, ja wam z pewnością przeszkadzać nie będę. Owszem, a jak mnie zapytają, który ma słuszność, to powiem, że jeden wart dyabła, a drugi sto dyabłów. Dosyściecie mi gałgany wszystkie razem sadła za skórę zaleli. Wiedzieć i słyszeć o was nie chcę.“ I tak skończyła się rozmowa z niemcem. Tą drogą zatem, wyraźnem było, że się niczego nie dokaże, i musiał proboszcz obmyśleć koniecznie inne jakieś środki, bo tak już sobie postanowił nie spocząć, dopóki skutku nie osiągnie.

Wybrał się też, nie tracąc czasu do miasta powiatowego, i tam dostawszy się przez stosunki do komisarza włościańskiego, przedstawił mu cały stan rzeczy. Komisarz o podejściu nic oczywiście nie wiedział, ale objaśnił kategorycznie, że ponieważ za podstawę przyjętym jest ten stan posiadania włościańskiego, jaki miał miejsce do roku 1848, więc jeśliby się znalazł dokument urzędowy stwierdzający takie, jak ksiądz utrzymywał, rozpołożenie działów włościańskich, nie podlega wątpliwości, że pokrzywdzony wejdzie w posiadanie tego wszystkiego, co mu zabrano nieprawnie.

Takim dokumentem mogła być tylko mapa, szło tedy o to, żeby się o niej dowiedzieć, żeby ją rozpatrzeć i to okiem znawcy, a jednocześnie nie obudzić podejrzenia niemca, który przyjął udział w tej szacherce, a chociaż niby odpowiedzialność za to nie czekała go żadna, jednakże taka to już jest natura niektórych ludzi, że gdy raz popełnią bezprawie, wolą dla pokrycia go dziesięć innych jeszcze dodać, byle nie przyznać się do winy i krzywdę nagrodzić. Zasięgnął więc rady jakiegoś obeznanego z takiemi sprawami urzędnika powiatu, a ten w taki sposób zapatrywał się na to, co zrobić wypada:

— Najprzód idzie o to, czy jest mapa we dworze, a potem co na niej jest, bo jak się mamy powoływać na dowód, a ten dowód będzie przeciwko nam świadczył, to pożal się Boże trudu i zachodu całego.

— Mapa jest z pewnością, bo wiem o niej, a co tam w niej, to musisz jegomość sam obejrzeć, bo ja się na tem nie rozumiem nic. Jedź więc ze mną do Chrzczonowa na noc, boć to jutro niedziela, a jakimś sposobem ja tam już ściągnę do siebie niemca, i może go tak usposobimy, że nam mapę obejrzeć pozwoli. Zresztą nie będzie z tem biedy— on pozwoli, i w tem już moja głowa.

— To dopiero połowa rzeczy.

— No a cóż jeszcze pozostaje potem?

— Rzecz najważniejsza. Idzie o to, czy dwór będzie się chciał z mapą zaprodukować przed władzami włościańskiemi. Mogą tam być spory, kwestye, ze względu na które nieroztropnie byłoby pokazywać taki dowód.

— Niema sporów o granicę najmniejszych. Prawują się, ale o lasy i pastwiska, i to wiem, że już się raz nawet tą mapą zasłaniano przed komisarzem.

— W takim razie jadę, a jak jest, zobaczymy.

— W każdym wypadku radziłbym niemcowi nie mówić, na jaki cel potrzeba nam widzieć plan mierniczy. Skoro raz odmówił, to już on przy tem stać będzie. Ja go znam; uparty jak żyd w tańcu, a zawzięty jak dyabeł sam, i to niemiecki djabeł — nie nasz.

— Otóż i bieda nowa, mówił frasobliwie ksiądz.

— Gdzież tu bieda?—ja nie widzę żadnej.

— A cóż powiedzieć niemcowi?

— Cokolwiek, byle nie oto, o co naprawdę chodzi.

— Łatwo to wam tak mówić. Ksiądz przecie jestem.

— Więc to dlatego?.. ba! zaśmiał się doradca, jakby tak kto chciał robić, toby nie tylko na brzegu utonął, ale by z miejsca nie ruszył.

— Dla was to nic, co robicie takie rzeczy od świtu do zmierzchu, ale...

— No nie ma co, jak tylko o to idzie, niech będzie mój grzech. Tutaj, to już ja nie zająknę się z pewnością. Obrobimy niemca, byle jegomość trunku uczciwego nie skąpił.

— Już jak trunek, jak sposoby i kruczki, to tam Pan Bóg nie błogosławi. Wolałbym ja otwarcie: co w duszy to na ustach—tak to po mojemu i po ludzku...

— Dalekobyśmy zaszli—szkoda czasu na takie spory. Zabierajmy się i jedźmy, bo noc za pasem, a ja jutro z powrotem przed wieczorem być muszę. Dziesięć spraw podobnych czeka na mnie — nie takich, bo sto razy trudniejszych.

Gdzie wielkich trudności spodziewają się ludzie, tam zwykle rozwiązanie przychodzi łatwe i prędkie. Ten człowieczyna przywieziony przez księdza okazał się bardzo zręcznym, a nawet przebiegłym. Niemcowi wmówił, że idzie rzecz o grunta do probowstwa należące, i że będą musieli zrobić kopię tej części Chrzczonowa, a gdy go przy pomocy tego trunku jak najprzychylniej dla siebie usposobił, nietylko uzyskał obietnicę pożyczenia mapy na czas jakiś, ale w dodatku przyznał dobrze zarumieniony i wesoły pan Starkopf, że nigdy przyjemniejszego człowieka nie widział, choć go ten pod koniec, sam już nietrzeźwy, najuroczyściej zapewniał, że djabeł z niemki się rodzi.

Nazajutrz obejrzano mapę, sprawdzono idąc niby na przechadzkę rzecz na gruncie, i wątpliwości nie podlegało, że Stańczak miał jedną z tych spraw, o których się mówić zwykło, iż przegranemi w żaden sposób być nie mogą. Przyzwano w końcu samego interesowanego.

— Wygramy chyba, powitał odrazu od progu Stańczaka, proboszcz, gdy ten wezwany przez Maksyma przyszedł się dowiedzieć, co tam w jego

sprawie zrobiono. Wygramy, bo wszystko jest za nami. Tylko teraz ani godziny zwłoki, ani chwili. Odrazu do roboty — po żołniersku! a widząc że Stańczak ma taką samą twarz zniechęconą, z jaką tu w chodził, dodał z naciskiem pewnym:

— Ej okapcaniałeś ty tam widzę Pietrek do szczętu, a to tak nie można gdy się ma dzieci. Cudzego nie pragnąć, a swojego nie darować! Inaczej robiąc, tobyśmy tylko tuczyli występek. Nie lubię ja kiedy człowiek ręce zakłada, bo Bóg ręce nie dlatego dał nam śmiertelnym.

— Ej nie zakładam ci ją rąk dobrodzieju, ani znowu tak okapcaniałem z kretesem, ale jak człek sam jeden, a tyle złości i uwziątku widzi dokoła siebie, to i nie wie już sam czego się trzymać. To też ja sobie tak mówię nieraz, choćby i do tej kobiety mojej. Dobrze by to było wyprocesować na tych szachrajach te dziesięć morgów, bo prawdę rzekłszy, to one lepiej i prędzej pożywią człowieka jak tamte trzydzieści kilka, ale co tu poradzić na złość ludzką! W dodatku wyterany ja jestem jak niepotrzeba gorzej; po kościskach łamie na lada wilgoć, niechże Pan Bóg zawoła którego dnia do siebie niespodzianie, to jak tu i zostawić kobietę i tego dzieciaczynę na taką nieprzyjaźń całej wsi.

— A tak to myślisz, że jużeś ich sobie kupił. Nie tacy oni dzisiaj jak przed rokiem, nie tacy nawet jak byli wtedy, kiedy zakręcili temi rolami twemi. Wtedy to oni sobie mogli powiedzieć, że wyraźnie nikogo nie krzywdzą, boć ta gospodarka pustką stała, ale dziś... Co ty chcesz! dziś szatan rozpętał u nich chciwość, i zamiast Bogu dziękować za to co na nich spadło, to oni o niczem nie myślą, tylko coby komu wydrzeć mogli. Dworowi to dworowi, a jak nie dworowi to jeden drugiemu. Zestarzałem ci ja się między ludem tym, a to ci powiem, że prędzejbym się wielu rzeczy spodziewał, jak widzieć go takim rozżartym i nienasyconym, jakim jest dzisiaj. Ale, co tam!—dodał po chwili. Nie o to teraz idzie. Kiedy mamy słuszność za sobą, a prawo też jest nie przeciwko nam, to babska sprawa a nie męzka byłaby darować. Nie miej ty człowieku draźliwszego sumienia jak jest moje, bo byś przemędrkował, a teraz słuchaj o co chodzi i duchem do roboty!

— Słucham — odpowiedział po swojemu Stańczak, któremu jak widzicie, potrzeba było od czasu do czasu takiego napomnienia. Złość ludzka obezwładnia, i on takim obezwładnionym czuł się chwilowo.

— Otóż widzisz, tak trzeba zrobić. Jutro skoro świt pojedziesz mi do powiatu. Tam przepytasz się o jednego urzędnika co się nazywa Pionkowski, Tomasz Pionkowski. On ci napisze podanie do komisarza, i z tem podaniem pójdziesz zaraz. Żołnierz jesteś, język urzędowy znasz, tylko trzeba, żebyś tego języka w gębie nie zapomniał. O reszcie się pomyśli tutaj, w gminie, a i we dworze także.

— Słucham, powtórzył raz jeszcze Stańczak, a nazajutrz skoro świt, był już w drodze do miasta powiatowego.

Zimna to i słotna była ta jesień 1864 roku. W połowie Października wypadło kiika ostrych mrozów; dwory prawie wszystkie pozamrażały kartofle i buraki, a u drobnych właścicieli to samo się spostrzegać dało przejeżdzając po kraju całym, bo też i na prawdę więcej w te czasy było sejmowania i pijaństwa, jak pamięci o robocie jakiejkolwiek. I w Chrzczonowskiej karczmie nie pusto było pewnego popołudnia, tak jakoś w tydzień mniej więcej po rozmowie proboszcza z Piotrem Stańczakiem, którąśmy opowiedzieli ostatnio. W izbie szynkowej siedział za stołem Jasiek Zięba, wsparty na łokciach. Głowę pochylił ku stołowi, tak że mu twarzy niebyło widać wcale, a była to teraz twarz koloru dojrzałego buraka ćwikłowego; oczy miał przygasłe jakieś, bez wyrazu, blade przy tem i zmęczone. Marnie on wyszedł na uwłaszczeniu — prawie że najmarniej z całej ludności Chrzczonowskiej. Jako niefigurujący w żadnych dowodach piśmiennych, niezaliczony także do służby dworskiej, nie miał właściwie praw żadnych, i tylko ze względu na długoletnią służbę wojskową dano mu izbę w czworakach dworskich, i jakieś sto prętów roli pod kartofle· Izbę odstąpił dworowi za gotowych kilkanaście rubli, których się pozbył tu, w tej samej karczmie, w dwa tygodnie bez mała. W miesiąc potem zamienił te swoje 100 prętów za odpowiedni kawałek roli z wsią graniczący, a teraz po spieniężeniu i tego ostatniego jednemu z Chrzczonowskich gospodarzy, któremu ten skrawek ziemi był przyległym, dopijał właśnie ostatnich groszy, jakie mu z tego handlu pozostały. Liczył przy tem, że mu się jeszcze coś przy rozdawaniu lasu okroić miało, i na tem sobie duże zyski zakładał, a tymczasem hałasował między gromadą, powstrzymywał ugodę z dworem, wichrząc, tumaniąc i obiecując rzeczy możebne i niemożebne. Słuchano go jednakże chętnie, bo pod one czasy takich słuchano właśnie doradców. Teraz widzimy Ziębę wpół przytomnego; budzi on się co jakieś pół godziny, przepija do kogoś niewidzianego, i wykrzykuje zachrypłym głosem jakieś piosenki, które ze sobą z wojska przywiózł do domu.

W przeciwnym rogu izby karczemnej siedzi czterech gospodarzy Chrzczonowskich. Jest tam sołtys, jest i trzech innych, a między nimi jeden blizki dosyć krewny Stańczaka. Wszyscy oni zapisani są w tabeli prestacyjnej, i regestrach pomiarowych obok siebie, siedziby ich także graniczą ze sobą. Aby dłużej czytelnika domyślności na próbę nie wystawiać, wolimy mu powiedzieć od razu, że to są ci czterej, którzy przed 8-iu może laty rozdzielili między siebie najlepsze z trzech pól Stańczakowego działu, oddawszy w zamian jakieś swoje pod lasem

położone, tak nazywane poprzeczki, które ponieważ razem wzięte, równe były obszarem co do pręta owemu pólku Stańczaka, więc oszustwo mołgo mieć pewne nadzieje powodzenia. Tylko co przybyli wszyscy, i jak widać, nie wiedzą nawet o co chodzi, bo pytają o to sołtysa, który powróciwszy z gminy, zaledwie konia wyprządz zdołał, i tu ich za sobą do karczmy sprowadził.

— Po co ja was zwołał, mówi zapytany, to ja sam dobrze nie wiem, ale mi tak kazał Siostkiewicz, z którym się widziałem rano. Mówił on, że będzie we dworze i przejeżdżając wstąpi tutaj. „A niech też tam będzie i Kacper Wieczorek i Ignacy, i Domaziak“ zawołał już, oglądając się z bryczki. Tyle wiem—a o co chodzi, to już on pewnikiem sam powie.

Ten Siostkiewicz a raczej Szostkiewicz z nazwiska, pisarz gminy Janków do której należał Chrzczonów, był to człowiek, który stu rozmaitych kawałków chleba probował już w życiu, a został przy tym, który go żywił teraz. Znany był z tego, że mu rubla bez niebezpieczeństwa powierzyć niebyło można, i z niezmiernej ilości wypijanej wódki, która stusunkowo szkodziła mu mało, wtedy zwłaszcza gdy jakąś szacherkę obmyślał albo przeprowadzał, a co do tego, można było powiedzieć o nim, źe mało miał sobie równych. To też zarzutów, podejrzeń, śledztw przeciw sobie rozpoczętych, miał on tyle co włosów na głowie, ale z tego wszystkiego nie wiele sobie robił, powtarzając przy każdej sposobności, że dobry kot zawsze na wszystkie cztery łapy upada, a w razach gorszych, to i drugą jeszcze maksymę: że więzienia pobudowane są dla osłów—nie dla ludzi.

Tego człowieka oczekiwali w tej karczmie czterej włościanie znani nam z nazwiska, a oczekiwali widać niecierpliwie, bo co chwila wstawał jeden z nich i wychodził do sieni, aby popatrzeć czy się na drodze bryczka z pisarzem gminym w topolowej alei nie ukaże. Po jakiejś może godzinie, sołtys, który odbywał tę wartę ostatni, wpadł szybko do izby, i rzucił krótkie słowo:

„Jedzie!

Jakoż po chwili przybył ten oczekiwany Szostkiewicz. Figura to była ani duża ani mała, ani otyła ani chuda nadmiernie, twarzy nie wielkiej, bez zarostu, głowy przełysiałej z tyłu; okulary nosił na oczach ciemne, z pod których spoglądając bokiem, miał minę zwierza wietrzącego i upatrującego zdobycz, do czego niezmiernie ruchliwy nos bardzo się przyczyniał. Cuchnęło od tego człowieka nieprawością i zupsuciem wszelkiem. Względem panów uniżony pozornie, a bezprzestannie knujący przeciw nim wszelkiego rodzaju machinacye, z ludem wiejskim to poufały był to rozkazujący. Umiał wyłudzać strasząc, umiał obiecywać złote góry bez myśli wywiązania się z obietnicy, i bez prawdopodobieństwa, że się sprawa jakaś da prze-

prowadzić. Złapany na gorącym uczynku szalbierswa. ani się wstydził ani zapierał nawet. Odpowiadając śmiechem na wszelkie zarzuty, bronił się jednem ze swoich zwykłych przysłów, których miał zapas niewyczerpany, a między któremi najczęściej używane były: mądry bierze—głupi daje.—Nie będziesz brał, nie będziesz miał.—Nie będziesz kradł nie będziesz jadł.

Takim był człowiek, który w tej chwili ukazał się w szynkowej izbie Chrzczonowskiej. Tekę miał z papieremi w ręku i duży zwój papierów jakiś także w futerale blaszanym pod pachą. Wszedłszy, obrzucił okiem śledczem wnętrze szynkowni, propinatorowi kiwnięciem głowy odpowiedział na ukłon, jednym rzutem oka opatrzył gospodarzy, czy są wszyscy, i czy niema między nimi kogoś niepotrzebnego, a zwracając się do stojącego za szynkwasem niemłodego mężczyzny powiedział z cicha:

— A pan Zbikowski niech tam otworzy alkierz i da światło!

Znaczyło to, że na rychły odjazd się nie zanosi. Skinąwszy potem ręką na sołtysa aby szedł za nim, rzucił się na ławkę stojącą pod oknem, i umieściwszy obok siebie swoje manatki, z akcentem znudzenia zapytał.

— A cóż—są te twoje sąsiady?

— A jakże. Kazał pan, to jużci że muszą być.

— Wiecie wy po co ja do was przyjechał?

— Zkąd mamy wiedzieć? Ani nam w głowie.

— Macie wy głowy — macie, i ten baran co na kołowaciznę zdycha, gorszej nie ma od was. Głowy.., powtórzył drwiąco. Oni głowy mają.

— Kiedy... bo, mówił zmienionym głosem sołtys, ja nie wiem, o co panu chodzi.

— Rozumie się, że nie wiesz. Ale za to jak się dowiesz, to aż w górę podskoczysz, i ty i tamtych trzech durniów, co są za drzwiami.

— Co się stało? Zapytał sołtys teraz już przerażony na prawdę!

— Stało się to, co się nieodstanie, a to dla tego właśnie, że u was baranie łby na karkach zamiast głów ludzkich. Ale co ja tam będę gadał...

— Niechże pan powie, bo ja już nóg pod sobą nieczuję.

— Właśnie! Dużo ci tutaj twoje nogi pomogą. Jak by ci jeszcze do nich kto kij dodał i torbę, i tamtym także, to by z was galanta czwórka dziadów była na zaduszki, co nie długo nadejdą teraz.

— W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego! niechże pan ducha z człowieka niewygania takiem słowem! Co się zrobiło?

— Pić mi się chce! Zawołaj tutaj Zbikowskiego.

Po chwili wszedł propinator, kłaniając się grzecznie od samych drzwi.

— Masz pan tę nalewkę co to wiesz?...

— A jakże, a jakże, i polecam ją łasce pana i służę zaraz...

— Za powrotem szynkarza nalał sobie pan pisarz szklankę rubinowego płynu, butelkę postawił obok siebie na znak, że się z nią rychło rozstać nie myśli, i połknąwszy kilka dobrych łyków, zwrócił się do stojących przed nim interesantów, i z szyderskim uśmiechem zapytał, uderzając po tece i po futerale blaszanym:

— Wiecie co tu jest?

— Co mamy wiedzieć -- niewiemy, odpowiedzieli razem prawie włościanie Chrzczonowscy.

— To ja wam powiem, Tu jest sobie najprzód prośba niejakiego Piotra Stańczaka, waszego krewniaka i kumotra, który się skarży komisarzowi włościańskiemu, żejest okradziony jakby na publicznej drodze przez swoich dobrych sąsiadów, których wymienia z nazwiska. Dalej jest rozkaz tegoż komisarza do gminy, żeby w imieniu urzędu zażądać od dworu mapy dla ocenienia słuszności pretensyi Stańczaka, i to wszystko dostarczyć wciągu 48 godzin pod karą, do kancelaryi komisarskiej, a tu nakoniec jest ta mapa wraz z regestrem pomiarowym, której rządca nie bardzo miał ochotę dać, ale którą dać musiał, i to ja to wszystko razem wiozę, a jutro przed południem wyprawiam do powiatu. No to wiecie już co to jest. Jakże wam teraz — he?

— Niechże pan ma Boga w sercu — niech pan nie posyła zawołał sołtys.

— Wiedziałem żeś głupi. ale niemyślałem, żebyś był głupszy od kreta. To ty chcesz, żebym ja z żoną i dziećmi poszedł z torbami dla tego, aby czterech kapcanów jak wy zatrzymało sobie to co zrabowali, bo już ja sam widziałem na mapie i w regestrze jak to jest. Niechże was! Niepiśmienny z was naród, ale wyście przeszli wszystkich piśmiennych katolików i żydów.

Popił wódki, zapalił cygaro i rozsiadł się rzucając zjadliwym wzrokiem po obecnych, jak gdyby się bawił ich przerażeniem i minami osłupiałemi. Pierwszy odzyskał przytomność sołtys, a że przy tem najpoufalszy był pisarzowi, więc też odezwał się z niejaką pewnością w głosie:

— Niby to już jak mapa jest, to wszystko jest. A jak wieś cała będzie za nami to nic?—eh strachy na lachy! Tak nas odrazu przecie niezjedzą.

— Że niezjedzą to pewno, bo djabliby tam komu było po was, kiedy wy teraz nie wiele warci jesteście, ale że tu przed tygodniem będzie geometra, i że sami będziecie sypali kopczyki nowe obok starego działu

Stańczaka, to ja sobie rękę za to dam odjąć. Rozgniewał się podobno komisarz bardzo, bo mu ten djabeł Stańczak udał się jakoś. ‚S,tary żołnierz służbista, powiada, i tak go te szelmy skrzywdziły.“ Nie bójcie się, nie tego komisarza uczyć, jak sprawiedliwość zrobić w trzy migi.

— No i co będzie Panie? co będzie? pytali zbliżając się do stołu wszyscy razem czterej winowajcy.

— Jużem wam mówił, co będzie i jak będzie.

— Niechże pan radzi, niech się pan zmiłuje, przecie to u pana głowa jest do wszystkiego.

— Aha! o mojej głowie mi gadaj teraz; właśnie tu głowa ma co do roboty, jak rozkaz taki przyjdzie jak byk. Głowa! „Tu święty Boże“ niepomoże a nie głowajednego człowieka, żeby ona tam i najlepsza była· Dawniej trzeba było przyjść do mnie, to nie mówię...

— Panie, niech pan ratuje! — my panu...

— Bardzo pięknie podziękujemy... prawda? Ja wiem, wy do dziękowania to jak ryba do wody, a ja też na takie podziękowania okrutnie łakomy jestem. No, rzekł, wstając, bywajcie zdrowi, chciałem wam powiedzieć co i jak, a teraz idzcie spać, bo też tu i niema o czem gadać więcej. I zabierał się wyraźnie do wyjścia, biorąc tekę i blachę ze sobą i nalewając sobie ostatnią szklankę wódki.

Zagrożeni wspólnicy zastąpili mu odedrzwi, prosząc, błagając, w końcu robiąc obietnice wyraraźniejsze już, choć zawsze nieokreślone, nieujęte—takie, od których można było wyslizgnąć się najbezpieczniej. Ale nie Szostkiewicza było brać na taki lep. To też śmiejąc się już po pijacku trochę, bo mu w istocie nalewka szumiała w głowie nie na żarty, przebierał się ku drzwiom, odsuwając ręką swoich natarczywych klijentów, i powtarzał im ciągle jedno.

— Dajcie mi święty spokój. Djabła na djable postaw i zaprząż do tego wozu, a nie pociągnie go. Skończone! — przepaskudziliście! Trzeba było wcześniej. Teraz nie ma rady, a nie ma rady bo nie ma czasu.

I odpowiadając im głosem czkawką przerywanym, znalazł się na środku izby szynkowej słabo oświetlonej dymiącym płomieniem naftowej lampki. Zbikowski drzemał sobie, jak to zwykł był zawsze robić, kiedy na niego nie wołano o podawanie półkwaterków, a z drugiego końca izby dochodziło miarowe chrapanie jakieś. Wyraźnie ktoś dokończony już zupełnie spał snem niespokojnym. Szostkiewicz raz z ciekawości cechowej, a potem, że po pijanemu lubił wiedzieć jeszcze więcej jak za trzeźwości, zbliżył się do tej postaci, a nawet nieco pochylił nad nią, a następnie, mruczeć zaczął przez zęby do siebie:

— Zięba, kochany Zięba... a to się ustroił nieborak; musi ostat-

ki przepijać z tej sprzedaży, którą mu spisałem niedawno. A bestja! Żeby to tak...

Naraz urwał, zamilkł, i stanął, a teka z papierami wyleciała mu z rąk, jak gdy nagle coś bardzo niespodziewanego zobaczył. Potem już tylko palcami stukał się w czoło, uśmiechał do siebie, niezrozumiałe jakieś wymawiał słowa, których ci czterej ludzie zamyśleni i smutni niepojmowali wcale. W końcu zawołał głośno:

— „A to im się szelmom gratka trafia! Ba! ale też to mnie trzeba na taki szpas! Niechby tu stu ludzi dumało, czy by jeden wydumał, co podobnego! I wracając do alkierza zawołał ich za sobą i powiedział głośno i wyraźnie, jak człowiek bardzo z czegoś uradowany i bardzo pewny siebie zarazem:

— Stówka! Słyszycie? Stówka na stół!

— Jak pan mówi! zapytał sołtys, który nie więcej od tamtych rozumiał, o co chodzi Szostkiewiczowi.

— Marne wasze życie na świecie, bo na prawdę że mój pudel jużby mnie zrozumiał do tej pory.

— Nijak nie możemy złożyć co pan chce powiedzieć.

Szostkiewicz nalał jeszcze jedną szklankę, otarł usta i dobitnie wolno, wyraźnie powtórzył im to samo innemi słowy:

— Sto rubli tu położycie na tym stole, a za pół godziny, bo dłużej ani minuty nie czekam -- sto rubli! a wydobędę was z błota!

Tamci patrzyli po sobie; nie wiedzieli, czy żartuje, czy mówi prawdę.

— Pogłuchliście czy pogłupieli? budził ich Szostkiewicz z tej osłupiałości, w której stali.

— Niechże Pan powie co i jak — do zrozumiałości; przecie to tak nie można kłaść za byle co takiego grosza.

— Mądryś ty, ale ja krzynę mędrszy od ciebie. Ty sobie, widzisz, jużeś wymędrkował po swojemu, a coś mędrkował to ja ci powiem zaraz:" Niechno się ten Szostkiewicz wygada, niech poda sposób na wylezienie z biedy, to sobie wyleziem, jemu się grzecznie pokłonimy, co do reszty, to jak mówią „piętami za górami!" Otóż kmotry moje, ja was znam jak zły grosz, ale ze mną takiej gry nie probujcie nigdy, bo jak ja się pogniewam, to i na te parszywe sto rubli napluję, i was w błocie zostawię — rozumiecie?

— Niechże pan gniewny nie będzie; dyć tu nikt nie myśli o zdradzie.

— Myślisz, czy nie myślisz — mnie wszystko jedno. Ja wam nawet opowiem od a do z, a wy i tak będziecie stali nieprzymierzając, jak ten, co mu na sznurku chleb z góry spuszczają, ale nie tak nizko, żeby za niego garścią złapał. Ty za ten chleb złapiesz, ale jak będzie

moja wola a nie twoja chrapka. Nie bratku! Szostkiewicza w ciemię nie bili. Owszem — owszem ja wam powiem wszystko a nawet ponaznaczam każdemu, co do niego w tej robocie będzie należeć, a zatem uszy do góry i słuchać!

— Ty sołtys, jak ja tylko ruszę z przed karczmy, wylejesz temu pijakowi, co tam w izbie chrapie jak bydle, wiadro wody na łeb, albo wytrzeźwisz go jakim ci się żywnie sposobem uda, tak, żeby jutro skoro świt stanął w gminie na stójkę. To musi być zrobione, bo na tem waga cała — jeśli to chybi, wszystko djabli wzięli — rozumiecie?

— Rozumiemy, była jednobrzmiąca odpowiedź, ale w istocie ani słowa nie pojmowali o co jemu chodzi, temu ich zbawcy.

— Ty Domaziak pójdziesz za swoją sprawą, którą sobie w głowie uprząść musisz, bo to rzecz twoja, do Zakrzewa, i tam w karczmie zaczekasz na Ziębę, co będzie szedł do powiatu. Ślepie wytrzeszczaj dobrze, bo jak przeoczysz, to tak samo interes przepadł, jakby go kto w wodę wrzucił. Wybrałem ciebie, bo masz łeb dobry i łatwo ci będzie tego pijanicę spoić, a samemu zostać trzeźwym. Powód musisz mieć, a najlepiej będzie, żebyś u niego targował ten las, który on ma dostać. Cenę daj małą, żeby to było podobne do prawdy, bo może być i śledztwo—to mówię z góry. Targuj tedy, i dolewaj, żeby miał pełno, a przy ludziach przypominaj mu, żeby papierów nie zgubił, bo się i to może przydać w swoim czasie. Jak będzie miał dosyć, wygnaj go z karczmy, a sam zostań jeszcze z jaką godzinę, Szukaj ludzi, żeby były świadki na każde słowo.. Za karczmą o jakie pół wiorsty, jest tam gaj sosnowy. Dalej, jak do niego dojść nie powinien, zwłaszcza jeśli mu dasz butelczynę na drogę. W lasku czekać będzie Wieczorek.. Jak tylko ty Wieczorek zobaczysz, że on siądzie, to już bądź pewny, że i zadrzymie, a wtedy twoja rzecz wyjąć mapę, złamać wałek na kolanie i w drogę, ale nie gościncem, tylko w las. Tekę z papierami mu zostaw. Jak się przebudzi, niech ją doniesie wedle adresu. Jak wyjdziesz z gąszczu, uzgarniaj sobie patyków, roznieć pod lasem ogień i spal wszystko. żeby jeden węgiel niepozostał. Popiół rozrzucić, żeby tam śladu nie było. No, teraz chyba zrozumieli?

— A jużci, niby to tak wygląda jakby,..

— Skoro wygląda, to marsz duchem po pieniądze. Jak się spóźnisz choć minutę potem, jak ta skazówka dojdzie tutaj, rzekł pokazując na zegarze, to szukaj wiatru w polu. W durnia nie probójcie też grać ze mną — ostrzegam, bo ja mam trzech stójkowych w gminie co dzień. Jak niechcecie Zięby, to odniesie drugi, a już ja wam wybiorę takiego, co doniesie z pewnością — bądźcie spokojni!

Musiało się wszystko stać akuratnie tak ja sobie ułożyli, bo we dwa tygodnie potem przyszedł Maksym po Piotra Stańczaka; mówił że dobrodziej okrutnie jest markotny i czeka na niego. Tak było w samej rzeczy; poznał to odrazu zawołany, po ruchach niespokojnych i zafrasowanej twarzy poczciwego staruszka.

— Patrzajże! wszystko się sprzysięgło na ciebie. Trzeba było takiego zbiegu okoliczności, żeby temu pijakowi Ziębie dali w gminie papiery w twojej sprawie i mapę dworską. Papiery doniósł, mapy powiada, że nie miał. Musiał paskudnik zgubić, bo ci w gminie zastawiają się świadkami, że mu wszystko do rąk oddali. Przekleństwo jakieś czy co, bo już nie rozumiem doprawdy! Jedyny był dowód za tobą, i ten się zatracił. Co będzie teraz?

— Ha cóż — nie było woli Boskiej i basta!

Stańczakowi przyszedł na myśl Zięba, i zrodziły się w nim zaraz wątpliwości, czy naprawdę, stało się wszystko tak przypadkowo, ale niezwierzył się już z tego przed księdzem, bo widział i tak, że nad miarę wziął on do serca jego sprawę. Za to Maksymowi powiedział wszystko, co mu przyszło do głowy.

ROZDZIAŁ V.

Ustanie powinności pańszczyznianej, jeśli nie zaznaczyło się na ludności wiejskiej odrazu takim stopniem dobrobytu, jak było powinno, to dla tego jedynie, że wraz z przerwą obowiązkowej pracy dla dworu, przerwała się praca i dla własnego dobra także. Sądy, zwady, skargi na dwór, skargi wzajemne na siebie, a nakoniec obfite zalewanie wódką każdej okazyi podobnej wypełniały cały dzień Boży. Czas był teraz wolny, roboty na własnem było dosyć, ale rąk do niej na razie brakowało. Żeby nie było tylu mącicieli i niespokojników różnego rodzaju, rychlejby się opamiętał ten nowy właściciel, ale że takich miała każda wieś dostatek na tę chwilę, więc niemrawie wlokły się roboty w polach, i około domu, a jaki taki jeszcze się na coś oglądał, jeszcze wyczekiwał, sam nie raz nie wiedząc czego.

Inaczej co prawda zupełnie działo się w Stańczakowej gospodarce. Ten odrazu zrozumiał swoją siłę, odrazu rozejrzał się w tem co było do zrobienia, i odpowiednio do tego postąpił sobie. Z parobkiem zrobił rozrachunek, oddał mu to co przypadało za czas przesłużony, a zostawszy panem nieograniczonym u siebie, powiedział do żony, kiedy się już uspokoiło zupełnie u niego:

— No jak tam było, tak było, ale zmarnieć z biedy nie powinniśmy teraz. Choćby tylko to, że dwa razy tyle było gęb do wyżywienia co teraz, to i to nie przelewki przecie. A trzeba jeszcze pamiętać, że z tym pomocnikiem łatwo nie było wcale. Bo to jak mówią ludzie: „Ja z tobą do twojej miski usiądę, ale tobie od mojej zasie.” A grymasić i przebredzać, to on potrafił nięzgorzej. Jakeś mu dał roli pod zasiew, to już on tam byle jakiej nie wziął, tylko tę coby była najlepsza i najgnojniejsza. To też tak i było, że u niego na działku trzy razy zawsze tyle snopków co u mnie. Przykrzyło mi się to, a w ostatnim roku, to już naprawdę nie wiedziałem, czy on u mnie, czy ja u niego jestem.

— Ale za to jak była nagłość, to was stanęło dwóch a nie jeden, jak będzie teraz,—niewiadomo, zaprzeczyła kobieta.

— Jak była nagłość, to była dla wszystkich, a najprzód dla dworu. Zawsze się tam obrobić najpierw było potrzeba, a potem, to znowu on był najpilniejszy, a ja, to tak sobie na ostatku i na przyczepkę.

— Prawda bo prawda, że nie inaczej bywało, ale mnie się coś widzi, że i ty już nie ten sam, co byłeś w pierwszym roku, jakeśmy się pobrali. Nie bój się! Przypatruję się ja tobie i z blizka i z daleka. Dawniej, jakeś snopkiem smignął, to ci tylko zawarczał w ręku, a teraz to się i kilka razy odwodzisz. A w polu, jak ci śniadanie niosę, to przecie mam pomiarkowanie na to, że ty nie dla czego innego na uwrociu każdem przysiadasz na płużycy, tylko dla tego, że przyduszno już na ciebie.

— Jużci-ż to tak jest jak powiadasz, aleć może Bóg z parę lat pobiedować pozwoli jeszcze, choć się człowiekowi co chwila przypomina, że wyterany jest nieprzymierzając, jak ochwacona szkapa, ale ja sobie tak mówię, że najciężej dopóty będzie, dopóki Walek nie dorośnie...

— Czekaj tatka latka, aż ci rosa oczy wyje. Ale słuchaj no ty, kiedyśmy się już o tym chłopcu zgadali, to ja ci chciałabym też słowo powiedzieć. Ojciec ty jesteś i gospodarz, aleć i ja matka chyba...

— Gadaj, przerwał Piotr Stańczak, podnosząc niespokojnie głowę.

— No, niemasz się tak co zrywać, jakby nie wiedzieć jaki strach był o niego. Ty bo tak na niego patrzysz, jakbyś go oczami jadł, i dlatego właśnie mnie dziwno, że chłopaczynie w robocie gotoweś pozwolić się przynękać. Dyż to dzieciuch, a prawie zawsze ze starymi do roboty staje.

— Niby ja jego niewolę. Co to niewolę;—odganiam wiele mogę, ale to się jakieś takie uwzięte urodziło na tę robotę, a honorne nieprzymierzając, jakby żołnierz jaki. Śmiech człowieka bierze nieraz, jaki poganin jest czupurny. Ani ja mu tej żołnierki w głowę nabijał, ani opowiadał tak wielce o niej, a to ci mówię gadzina jest taka osobliwa, że „nie wchodź w drogę,” i to tak od maleńkości samej.

— Ale! nie nabijał w głowę—nie rozpowiadał!—nie mnie gadaj takie rzeczy. Mało ja się tego nasłuchałam, a zresztą on i słuchać nie potrzebuje, bo on patrzy, a umie jakoś patrzeć nie tak, jak inne dzieci, i tak się też odrazu na ciebie zapatrzył, że gdyby nie to, że mniejszy, i nie taki zgarbiony, toby można czasem myśleć, że to ty sam...
Takiś też musiał chyba być w jego latach.

— Albo ja już wiem, jaki ja byłem, kiedy mnie tamto wszystko to tylko jakby się śniło, a potem to już człowiek, jak się przebudził, to się odrazu znalazł stary. Ale i odkąd kości tu swoje dowlokłem, to mnie w rzeczy tylko co dzień wieku przybywa, a na prawdę to ja się tu ani narobić nie mogę dosyć, ani znużyć, i tylko tak bym chciał, żeby aby zostało wszystko jak jest.

— Co prawda, że ludziom bywa gorzej jak nam, przywtórzyła po namyśle kobieta.

— Co to gorzej—to jednemu na tysiąc tak się nie zdarzy. Kiedy ja sobie pomyślę, jaka nas to kupa duża wyszła przed laty z Warszawy, a wielu przez ten czas ja tam widział, jak wymierali albo pomarnieli ze szczętem, to mi tak ciągle się wydaje, jakby ja to szczęście komu drugiemu zabrał. Co ty chcesz, dziesięć lat minęło jak wróciłem. Ani ja dachu zastałem, żeby głowę przytulić, ani rąk o co zaczepić nie było, a tu naraz za Boską wolą i pomocą ludzką znalazło się po ojcach grosza sporo, i to dwa razy tyle wiele go oni zostawili, a potem choć i z tą gospodarką także. No napracować, to ja się napracowałem przez te dziesięć lat, ale żeby to miało być kiedy moje własne, i niczyje tylko moje, to ja przecie nie byłem waryat, żeby mi to po głowie chodziło. A teraz co? Taki ja sobie pan jak drugi, co się panem urodził; ani kto na mnie zawoła, ani mi co ma do rozkazania. Jedz chleb i Pana Boga chwal. A tu ci ten durny naród woła: Chodź do dworu, bo się musim upomnieć o tę niwę, co naprzeciwko wsi się ciągnie, bo się bez niej nijak nie obejdziemy. A z kądże wam ta niwa w głowy się wszczepiła? ja pytam się ich, a oni na to: Toś ty widać kiepskiego rozumu się tam uczył w tem wojsku, kiedy tego nie możesz pomiarkować, że teraz to i kura twoja za okop nie będzie mogła już przejść. Ano tak popadło, mówię ja — dwór teraz sobie, a my sobie. „Nijak się bez tej niwy nie obejdziem, wołają jeden bez drugiego; musi być nasza!” Róbże tak, żeby była twoja, kiedy nie jest twoja, mówię każdemu z nich, ale ona nie jest moja i ja nie pójdę z wami. Pójdziesz! Nie pójdę! A więc gniew i obraza Boska i pomstowanie za to na mnie. Ledwie im tę niwę komissya z głowy wybiła, to samo zaczęło się o pastwisko. Dlaczego chcesz tamtego pastwiska, pytam się ich, kiedy wiesz dobrze żeś zawsze pasał gdzieindziej? Tamto dostałeś już, z kądże ci przyszło czepiać się tego? Ma dwór pastwisk, że oko nie dojrzy; to co dali ledwie starczy dla nas, a dzieci co będą robić? Znowu ja im się okoniem

stawił — znowu na mnie gniewu Bożego wzywali. Skończyło się z pastwiskiem tak, jak z tem polem, a oni wtedy znowu powiadają: Żeby nie było takich mędrków, co ich dwór poprzekupywał, tobyśmy musieli byli wygrać. Mnie kto przekupił? A żeby był to poszanował, co wziął jeden i drugi, toby i tak było dobrze. Odmierzyli co prawda i im w te czasy lasu kawał, no a gdzie ten las dzisiaj? Nie chwalący się został przy mnie; oprócz mnie ma dwóch jeszcze; resztę zabrał żyd, albo się tak wymarnowało potrochami. Oni chcieli, żebym ja się z nimi razem prawował o to, co nie było moje, kiedy ja na to, co dostałem, patrzałem jak na znalezione. Takiś niepragnący, mówili znowu inni wtedy do mnie, i niedziw, boś ty wiatry gonił po świecie, a my się tutaj na tej ziemi potem oblewali. Pamiętam, że im wtedy powiedziałem tak, że iuż mi dali na jakiś czas spokój. Jeśli, mówię do wojska ze wsi, musi iść jeden, czy dwóch, czy trzech, to ja, nie tylko poszedł za siebie, ale i za każdego z was, coście doma ostali, a jakie ja tam wiatry gonił, to się przypatrz mnie i sobie, a będziesz wiedział.

— Kilka to już lat od tego wszystkiego, i oni już nie ci sami ludzie, co byli pod one czasy. Nie jednemu przyszedł rozum do głowy, nie jeden się już dobrze naharował na tej ziemi, a jednak przypatrz no się ty, że się jakoś nie świeci na nich, a choćby i na tych, co z mojej krzywdy urośli. Nie poszło im widać ręką.

— Łatwo ci to tak mówić, odpowiedziała Stańczakowa mężowi, a była to kobieta nietylko robotna, ale i mądra co się zowie, i nie było dziwoty, że ją sobie taki człowiek spokojny, rozważny i do pracy ochotny na żonę w całej wsi upatrzył. Łatwo ci tak mówić—u niejednego chałupa pełna dzieci i to takich, co albo dorastają, albo już poszły na swoje, a u nas z woli Boskiej ten jeden dzieciaczyna, jedyny. Ten i ów dał za córką kilka groszy, co je miał schowane od złej godziny, a inny nie mając grosza, a żeniąc syna oddał mu cząstkę jakąś ziemi, to i jakże ma być inaczej. Nietylko ręce ubyły z chałupy, ale i chleba ubyło.

— Tak, to prawda, ale też to źle, że się tak robi.

— A jakże ma być inaczej? Ojciec dziecku własnemu nie udzieli? Do czegoż by to było podobne!

— Ja nie mówię, żeby w pazurach trzymać wszystko do ostatniej godziny, i patrzeć, jak się dziecko po służbach poniewiera — ja tego nie mówię, ale to ci powiadam, że jak to ma dalej iść tak jak teraz, to wszystko będzie na nic.

— Ano, to powiedz-że co ty myślisz, bo ja z tego mądra nie jestem, co gadasz.

— Powiedzieć tobie? jak ja mam to wszystko tobio—kobiecie do głowy włożyć, kiedy mnie samemu sposób żaden na tę biedę się nie nadaje. Ja tylko widzę, że jest źle, ja widzę, że taki co był gospodarz całą

gębą lat temu kilka, teraz już wyszedł na małego gospodarza, a jak się jeszcze z dwojgiem dzieci podzieli, to zamiast jednego dowodnego właściciela będzie kilku zagrodników — kilku biedaków. Ni to u takiego co zaprządz, ani do czego zaprządz. Ot pożal się Boże!

— No i co będzie? pytała kobieta, która po raz pierwszy słysząc takie rzeczy uderzoną została trafnością rozumowania mężowskiego, i jego przewidywaniem na przyszłość. Co będzie? Przecie się sposób znaleźć musi. Nie oni go znajdą sami, to ich dzieci znajdą.

— Otóż to teraz toś prawdę powiedziała. Albo oni, albo ich dzieci, ale widzisz oni sami—niby ci co są teraz tacy starzy jak ja, albo i starsi, to oni już nic nie znajdą, bo ich głowy żadnego nowego porządku nie zrobią, a co do dzieci, toby to było może i dobre, ale...

— No jakież tam ale, bo u ciebie zawsze ale jest.

— Ale, kończył Stańczak powoli, to może być już za późno. Rozum przyjdzie, a przez ten czas rola się rozdrobni na morgi, a z morgów na zagony. Ani to na tam będzie żyć ani umrzeć.

— Twój Walek nie będzie potrzebował tak mędrkować, powiedziała z uśmiechem kobieta, szczęśliwa na myśl samą, jaki to z Walka za lat kilkanaście będzie gospodarz na wieś całą—ba! na całą okolicę.

— W mocy Boskiej to wszystko! Ja nie miałem nic prócz dziesięciu palców, a Bóg poszczęścił niespodzianie; on niby ma, niby się wydaje, że mieć powinien, bo się też i wszystko po temu robi, ale praca nasza a rządy nie nasze—w tem rzecz. Kto to może wiedzieć, co jutrzejszy dzień przyniesie ze sobą. Ale słuchaj ty, ja tobie co innego rzec chciałem, i już się nawet z tem noszę z jakie pół roku, ale mi nie idzie. To się robota znajdzie nagła, to człowiekowi coś przeszkodzi, a tu jak ja sobie pomyślę...

— Znowu mię czemś chcesz straszyć, Ty bo zawsze wynajdziesz coś takiego.

— Straszyć nie,—bo to tylko głupi się strachają, albo tacy, którym sumienie spokoju nie daje — ja się czego innego boję—nie dla siebie a dla was. Nie daj Boże dla mnie śmierci niespodziewanej, tobyście wy pozostali—nie powiem źle, ale nie tak, jak potrzeba .Jednego nie wiecie wy, a drugiego ja nie jestem tak pewny, jak człowiekowi uczciwemu trzeba.

— Czegożeś ty nie pewny? Powiedz najprzód to.

— To trudno ci będzie wytłómaczyć, boś ty się nędzy nie najadła tyle co ja, i nie widziałaś tyle biedy dokoła siebie, co jej się napatrzyły oczy moje. Ale widzisz w wojsku, tam, gdzie ja bywałem, to złe bywa, ale na złe raturek jest prędki, i z sumieniem czystem chodzić po świecie łatwo jest każdemu. Człowiek, to nie bydle, co jak strawy dopadnie, to ją cicho spożywa, żeby go nie podpatrzyło inne, a jak się trafi, że go ujrzy, to jedno na drugie duchem zęby wyszczerza. Człowiek, choć

by taki nawet bardzo osobliwy nie był, potrzebuje swój kawałek chleba jeść w spokoju, a spokój jest wtedy, kiedy tak daleko, jak oczy dojrzą, nikt tego chleba nie pragnie, bo wtedy on i tobie przez gardło przechodzić nie chce. To już tak Bóg stworzył człowieka widać, a jak on się zrobił innym, to on bliższy zwierzęcia, jak ludzkiego stworzenia. Otóż tam na taką rzecz to było lekarstwo: raz dwa, trzy—i po wszystkiem. Dobyłeś chleb z torby, a spojrzałeś, że ktoś koło ciebie siedzi i w ziemię patrzy, toś swój na dwie połowy rozłamał, i wiedziałeś w te czasy, że ci twój kawałek własny ręka Boża pobłogosławiła. Tak się robiło, tak się żyło, i choć człowiek prosty księżego rozumu na takie sprawy nie miał, ale coś mu wewnątrz gadało, że tak robiąc, robi dobrze... bo więcej zradzić taki nie może. Tu widzisz co innego zupełnie się stało. Tu, na to mówiący, jak ja naprzykład, co się dorwał do chleba, to mu się z tego głupstwo jakie do głowy łacno przyplątać może. Ano tak jest; niemasz się co śmiać z tego co mówię, bo kto taki zadufany i zgarnia tylko wszystko do siebie, to tak jakby uwierzył, że on to wszystko tak bardzo już sobie u Pana Boga wysłużył.

— A tobie się wydaje, że nie?

— A ja nie wiem jak jest. Może to łaska Boża, a może zadatek tylko. Pan Bóg daje a patrzy, co ty z tem robisz.

Zapanowało milczenie, które przerwała Stańczakowa pierwsza:

— Nie wiem ci ja dobrze, co ty masz w myśli, i o co ty siebie winujesz. Tego co na ciebie spadło sam nie zjadasz na podobieństwo onego zwierzęcia, o którem powiadałeś, ale przecie dzielisz się z kobietą i dzieckiem.

— A ba! takżeś powiedziała! Jak tobie i jemu, to przecie to samo co sobie.

— No dobrze, kiedy tak chcesz koniecznie, ale ktoby ciebie słyszał, to już mógł by pomyśleć, że pogany z nas prawdziwe, a tu przecież, nie chwalący się, biednemu od progu na głodno odejść się nie da, nikomu się krzywdy nie robi...

— Ot i masz! jaki to człowiek każdy na siebie łaskaw. Toż i z ciebie kobieta dobra jest, a nie w głowie ci, że zawsze najlepsza jesteś dla siebie samej. „Naści nieboże, co w gębę wleźć nie może” — to każdy potrafi. A ja kiedy tobie mówił, że się jednym kawałkiem chleba dzieliło dwóch ludzi, to wcale nieznaczyło, żeby ten, co się dzielił, miał mieć swego kęska dosyć. Wcale nie! Owszem, głodny był potem, ale widzisz moja matko, podzielić się, to ja myślę, na mój głupi rozum, że to znaczy odjąć sobie, a odjąć nie to co zbywa, ale to, co potrzebne. I tak to być musi chyba—nie inaczej.

— Cóżbyś ty chciał zrobić?

— Ja nie wiem sam, ale nie chciałbym, żeby za to, co mnie tak dobrze jest, Bóg mojemu dziecku poskąpił kiedy, i dlatego głowę sobie suszę, bo naprawdę, jak Pan Bóg do siebie zawoła, to co człowiek będzie miał do powiedzenia na swoją obronę? Że mu tu dobrze było? To nie dużo i nie dosyć wcale.

— No, wielkie zasługi to nie są, ale przecież znowu nie takie z nas bogacze nadzwyczajne...

— A ba, poczekajże, bo i o tem chciałem ci parę słów powiedzieć.

Tu się Stańczak obejrzał po izbie, a dojrzawszy, że Walek blizko komina siedzi, i głowę ma na rękach opartą, a oczy na ojca z całą bacznością zwrócone, powiedział do żony głosem przyciszonym:

— Kiedy indziej dopowiem ci resztę; on tego słyszeć nie potrzebuje jeszcze.

Pozostało tedy wszystko po dawnemu; Stańczakowa nosiła się wprawdzie przez dni parę ze swoją niezaspokojoną ciekawością, ale to w pracy ciągłej zapomina się zawsze o takich rzeczach, które z robotą bieżącą wspólności nie mają żadnej.

Słuszne to było wszystko i prawdziwe, co mówił żonie stary żołnierz, a i to także było prawdą niezaprzeczoną, że pomyślność gospodarzy chrzczonowskich z każdym rokiem się zmniejszała. Przybywało chałup we wsi, mnożyła się ludność, ale znać było, że tu człowiekowi coraz ciaśniej się robi. Ugorowe pola obsiewano, rolę przewracał każdy z boku na bok, zwyczajnie jak to bywa zawsze, gdy człowiek nie wie zkąd wziąść i gdy mu się wydaje, że takie ciągłe zapożyczanie się u ziemi, przez długie lata prowadzić można. Ten i ów już zaszedł w długi, a gdy wszedł raz, nie było biedzie kresu, a procentom końca, boć nie kto inny tylko żydki kredytowały potrzebującym. Po sądach spraw ze Chrzczonowa zaczynało się tak mnożyć, że to aż uwagę ludzi zwracało—jednem słowem znać było na pierwszy rzut oka, że tu się gospodarze nie dorabiają, a owszem zaledwie każdy biedę odpędza i to z trudnością.

Ku wiośnie miało się jakoś, a że marcowy przymrozek ścisnął pewnego dnia ziemię, więc wybrał się Stańczak furą do lasu z chłopcem, żeby zbiorki leśnej nawieźć w podwórze, zanim się roboty w polu rozpoczną. Wracając z lasu spostrzegł idący obok wozu Stańczak, że drożyną boczną wraca do wsi Maxym, a że go już od paru tygodni nie widział, więc kazał Walkowi jechać do domu, a sam się zatrzymał oczekując na rozdrożu starowiny. Postarzał się Maxym bardzo, i jak mówił, że go tam do apelu lada dzień zawołają, bo już z całej jego komendy nikt żywy po świecie nie chodzi. Chętnie on zawsze rozmawiał z kolegą, jak go w łasce swojej nazywał, i teraz na jego: Z kąd Bóg prowadzi? odpowiedział zapytaniem: Czy w zdrowiu dobrem zostaje? Niebawem jednak rozgadał się po swojemu, bo gadułą był zawsze, a że professyą jego stanowiło wszędobyl-

stwo, więc miał o czem rozpowiadać i rozpowiadał chętnie ile razy go kto chciał słuchać. Ale biednemu zawsze ludzka niedola prędzej w oczy w pada, aniżeli pomyślność, więc nie dziw, że od tego człowieka rzadko się można było czego pocieszającego dowiedzieć. Tak też zaczął i teraz, a zanim kwadrans upłynął, wiedział już Stańczak, że się w Zalesiu gumno dworskie spaliło całe, że przy wywózce drzewa z lasu rządowego sosna na śmierć przygniotła Kacpra Jurka z Soszyc, że wszędzie przednówek okrutnie jest ciężki, co poparł Maxym gorzką uwagą do siebie zastosowaną, a mianowicie, że bardzo to dla niego szczęśliwe, że mu życie do kresu dobiega, bo też już chyba o proszonym chlebie nikt w tym kraju na przyszłość nie wyżyje.

— Kradziony,—kończył w połowie z gniewem, a w połowie ze smutkiem Maxym, kradziony to może i utuczy niejednego, ale taki co się z miłosierdzia dostaje, to się skończył na pewno.

— Octu wam gdzieś dali się napić wyraźnie, przekładał Stańczak. Albo to kiedy łasce Boskiej i miłosierdziu dobrych ludzi będzie koniec? mówił z przekonaniem. Nie ma strachu! Byli zawsze tacy i owacy, i będą także różni między tymi co przyjdą po nas.

— Co nie mają być, przedrzeźniał Maxym - będą z pewnością, tylko żebyś ty mnie powiedział, jak to będzie, to byś mi zrobił łaskę, bo co dobrego jest, to zgałganieć musi koniecznie, a co uczciwe, dobre i miłosierne, to w pierze nie porośnie w takim czasie, gdzie wszystko z pieca na łeb leci.

— Dajcie pokój ojciec, bo się na płacz zbiera, jak wy zaczniecie mantyczyć. Ot lepiej powiedzcie dobre słowo, bo człowiek, co się za kopiec nie wychyli, głodny takiego słowa.

Maxym spojrzał raz i drugi z podełba na Stańczaka, pomruczał coś do siebie i jeszcze mu się raz przyjrzawszy, jak gdyby go dzisiaj dopiero pierwszy raz oglądał, tak zaczął powoli, wyraźnie, ciągle się zatrzymując i śledząc wrażenie, jakie na słuchaczu robi jego opowieść:

— Żeby ja naprawdę wiedział, co w tobie siedzi, to jabym może i miał nowinę dla ciebie...

— Dobrą—złą?—pytał z trochą ciekawości i niepokoju Stańczak.

— Dobre i złe, to się gada tak jeno, a każda rzecz może być dobra albo zła. Jednemu ona taka, a drugiemu inna.

— Niebałamućcie Maxymie, bo ja zawsze prędki byłem, i jak mi kto tak po kropli cedził, to mię mory brały na to. I dzisiaj ja taki sam prawie jeszcze.

— A no kiedy tak, to ci powiem już odrazu. Na obiad idziesz, to ci się będzie lepiej jadło. Otóż widzisz to tak było:

Przyszedł ja sobie do karczmy na Wygnańcu, i jak zawsze wszedłem sobie do izby, bo to niby ten propinator, to mnie pamięta, jak ja jeszcze

innym był człowiekiem jak dzisiejszego dnia, i zawsze tam od niego coś kapnie biednemu. Nie ostatni z niego znowu taki, jak to inne karczmarze bywają, człowieczyna. No i przywitałem go po Bogu, jak wypada, a on też rad był, że mnie widzi, bo sam siedział onego dnia za szynkwasem, jakby na uwiązaniu jakiem. Zaczęło się gadać o tem i owem, ale ledwie tak kilka pacierzy przeszło, patrzymy, aż tu jakaś bryczka zatrzymuje się przed karczmą. Zdało mi się, że ja widziałem gdzieś tego waszeci, ale on odrazu go poznał i powiada do mnie: „Będzie gdzieś bieda, bo jak ten w drogę, to już nie próżno, i nie w jednem miejscu ma sprawę, ale wiezie ze sobą litanię całą."

Nie pytałem dalej, bo się też i tamten wtaczał do izby, a jest chłop z niego setny; na wysokość będzie taki, jak ty, ale na grubość czterech by takich z niego wykroił. Jak tylko wszedł, takem sobie i ja przybaczył, kto on, dla tegom zacisnął się w kącik, a wiedziałem, że tam o tę podróż będzie go szynkarz maglował, bo to oni w swojem rzemiośle lubią wiedzieć gdzie, i kto się wlecze, a jeszcze też, jak o taki interes chodzi....

— Gadajcież Maksymie, kto był ów człowiek, bo to tak, jakbyście probowali, czy ja będę słuchał, czy też was ostawię na drodze.

— Będziesz słuchał — będziesz—spokojny ja o to jestem, tylko się dowiesz trochę, ale widzisz, ja nie mogę inaczej gadać, bo ja się nazwyczaiłem robić i opowiadać prządkiem...

Stańczak ruszył tylko ramionami, ale milczał, bo wiedział, że jeszcze dłuższą będzie przez to zwłoka, a stary przekora, odetchnąwszy, tak rozpowiadał dalej:

— Okropnie mu się przypodchlebiał ten stary lis, a sadzał, a miejsce przed nim połą surduta wycierał; niepytany wyleciał, żeby koniom obrok wydać, to też jak mu po powrocie czegoś tam w butelce osobliwego widać postawił, bo się tamten tylko uśmiechnął, i mlaskał językiem dziwacznie, tak zmiarkował, że już teraz będzie go można brać na spytki. Zręcznie on to wszystko bardzo robił, trzeba mu przyznać, bo też ten jegomość więcej sam z siebie powiedział chyba, jak chciał i, jak mi się widzi, więcej jak był powinien. Dowiedzieliśmy się też zaraz, że jedzie do Żarnowa na noc, bo tam u jakiegoś żyda ma zrobić zajęcie za długi także żydowskie, że ztamtąd na taką samą robotę wybiera się do dworu jednego, już blizko Końskich, ale nie baczę nawet gdzie, a potem jeszcze i jeszcze gdzieś, a nakoniec, powiada muszę też zabrać ze sobą wójta z Jankowa, bo mi przy czynności jednej będzie potrzebny we czwartek, a to niby było w ten poniedziałek, a dzisiaj mamy środę z łaski Boga, więc to niby tak, jakby na jutro.

Jak on tylko wymówił „Janków" tak je zaraz czuj duch, i uszy do góry, a wiedziałem, że już mu tamten nie przepuści i wydusi z niego

i resztę. Jakby go kto obstalował—powiada on tedy ze swoim uśmiechem chytrym.

—„To już na pewno pan Radca do dworu na licytacyjkę?

— „Ba! żeby to, powiada do dworu, toby pół biedy było, boby się przynajmniej znalazło czem zęby przetrzeć i gdzie przespać wygodnie, ale to najgorsza sprawa, że właśnie u chłopa będzie ta licytacya, a właściwie nie u jednego tylko u dwóch.

— „Zapłacą pewnie, mruknął propinator.

— „Nie zapłacą, właśnie że nie zapłacą. Pisarz z gminy opowiadał mi, że się do wczorajszego dnia nie wystarali o pieniądze, i że jak on mówił, nie wystarają już chyba. On to wie, bo on kanalija wszystko wie. Ej mędrek też to mędrek! Jak on nie przemędrkuje kiedy, i nie wlezie w pułapkę, to zostawi dzieciom kabzę dobrze nabitą.

— „Napitku pan Radca mu nie rachuje widać?

— „Nie rachuję, bo on za niego płacić nie głupi, i każdy z was przed nim stawia, nie pytając kto rachunek płaci, ale niech go tam licho weźmie, choćby i tego pisarza waszego, mnie chodzi że z tych dwóch golców nie zapłaci żaden, że trzeba będzie targi przeprowadzić do końca, daj Boże tylko żeby licytantów nie brakło, ale już ja tam rozesłałem po żydkach wiadomość, i pewnie ich się zleci sporo, bo jakoś pogoda dopisuje. Jak on tak zaczął mówić, że u chłopów, to zaraz, jakby mnię co tchnęło, że to u nas chyba, ale nic nie mówię i czekam, a tamten popija a opowiada:

— „Termin dałem krótki, bo tak było... potrzeba, i Szóstkiewicz przysięga, że wszystko w terminie im powręczał, i ogłoszenia ponalepiał gdzie potrzeba, ale ja zawsze niespokojny jestem, jak on do sprawy wchodzi, bo poganin jeden za rubla toby pana Boga i bliźniego sprzedać gotów. Potem sam się wyśliznie, a mnie z tego ambaras i jazda druga, zwłaszcza jeśli oni na prawdę nie będą mogli zapłacić.

— „Żeby pan Radca mnie powiedżiał o kogo chodzi, to ja bym mógł coś przecie objaśnić, bo się to niby ludzi w okolicy całej zna jak należy, i wiem którego czuć groszem, a którego nie—kto ma krewnych bogatych co go wyratują, a kto już bez grosza i bez kredytu żadnego. O jej! przecie nie od prezentu człowiek tyle lat tym chlebem chodzi.

— „A cóż to sekret czy co? Od czegóż były ogłoszenia o terminie licytacyi? chyba żeby tamten pokręcił co, a u niego nie kupić, takich sztuk, jak mówiłem. Nie słyszałeś wasan o Chrzczonowskich chłopach, co się z żydami prawowali o jakiś kilkaset rubli. Wlokło się to ze dwa lata, ale w końcu uzyskali na nich wyrok, no i jadę ja teraz koniec zrobić.

— „Nie wiem jeszcze jak się oni nazywają?

— „Zaczekaj że... Wieczorek jeden, Domaziak drugi, powiedział komornik zajrzawszy do książki, którą wyjął z kieszeni surduta. A wi-

dząc, że propinator ma taką minę jak gdyby słyszał o tem wszystkiem pierwszy raz, potarł łysinę frasobliwie, i mruczał swoje:

— „Ani chybi, tylko pokręcić musiał ten szelma. Jakby było wszystko w porządku, to nie bez tego, żeby i do wasana to nie było doszło. Musiał coś połknąć i dopuścił jakiegoś kruczka. No! jeśli on to spsocił, to już mu tym razem nie przepuszczę.

— „To widzisz tedy mój Stańczak kochany, tak stoją interesa. Nosił wilk—ponieśli i wilka. Dusili oni ciebie, dusi ich teraz żyd. Jakże ci tam? powinieneś być kontent, bo na ciebie ich krzywda nie spadnie, a djabeł się czy żyd roboty podjął, i zrobi swoje.

— „Szli w milczeniu teraz, tylko Stańczak przyśpieszał kroku, tak iż mu Maksym przypomnieć musiał, że on o dwadzieścia lat z górą jest starszy, i na żaden sposób mu nie nadąży. Ale i na to nie zważał wcale Stańczak, tylko szedł dalej tak, że już przy pierwszych domach we wsi został się Maksym w tyle, a tamten śpieszył, głowę miał w dół spuszczoną i umyślnie zboczył w ulicę, żeby zobaczyć jak ta chałupa Domaziaka teraz wygląda, i jak to jej mieszkańcom tam być musi, kiedy wyszedłszy za próg zobaczą taki straszny przybity na ścianie papier z rządową pieczęcią. Był on też tam ów papier tajemniczy, okropny, z którego litery każdej zdawały się wyskakiwać jakieś bestje potworne, pożerające pracę i spokój człowieka. Dla niepismiennych ludzi, a Piotr Stańczak należał do takich, jest w każdym podobnym, nieznacznym na pozór skrawku papieru pokrytym kilkunastu wierszami, niewypowiedziana jakaś groza i siła niszcząca.

— „Jeszcze też chyba odkąd ten biedny Chrzczonów stoi, nie widziano tutaj nic takiego. I co oni zrobią? Co oni poczną teraz?

Przypomniał sobie w tej chwili, jak służąc w wojsku przed laty Stańczak świadkiem był podobnej egzekucji sądowej, dopełnionej na niewypłacalnym jakiś rzemieślniku. Jak gdyby to wczoraj dopiero miało miejsce to wszystko, przypomniało mu się odrazu—i płacz dzieci, kiedy zabierano sprzęty z pokoju, i ta matka wpatrzona bezradnie w twarze tych przyszłych nędzarzy swoich, i ojciec rodziny w niemem osłupieniu spoglądający na to co się działo, tak jak gdyby to jego zupełnie nie dotyczyło. Wszystko to widział teraz Stańczak pozbyć się nie mogąc tych myśli i tak doszedł do domu. Walek tam już dawno konia wyprzągł i obrok południowy mu zasypał, a matka ze trzy razy przed sień wychodziła, aby zobaczyć co gospodarza gdzieś tak zatrzymuje, zwłaszcza, że Stańczak nie miał zwyczaju bałamucić w dniu roboczym i stawać po drodze dla próżnych pogadanek z sąsiadami. Przyszedł wreszcie, przeżegnał się na progu, jak to robił zawsze, powitał żonę „pochwalonym" i zrzuciwszy czapkę, usiadł na ławie zamyślony. Kobieta która go znała dobrze, wiedziała że mu się coś nie pomyśli trafić musiało, ale że nie lubił, kiedy go pytano o to, czego sam nie miał ochoty po-

wiedzieć, więc czekała cierpliwie, bo zwykle już tak bywało, że dopiero jak się nasumował i narozmyślał sam ze sobą, przychodził do niej i opowiadał co go martwiło, albo czego się obawia.

— „Obiad ci podać? zapytała.

— „Podaj, odpowiedział, ale wyglądał tak, jak gdy nie wiedział co do niego mówią, a potwierdzało zresztą takie przypuszczenie i to, że nawet łyżki nie wziął do ręki.

Stańczakowa spoglądała na męża z pod oka, ale nieprzerywała mu ani jednem słowem, a nawet Walkowi który się zabierał do jakiejś opowieści, skinieniem ręki nakazała milczenie. Jużto słuchanym był Stańczak tak, jak głowa rodziny słuchaną bywała dawnymi czasy. A on tymczasem ręką tylko włosy przegarniał, a chwilami mówił do siebie po kilka wyrazów, z których żona zrozumiała tylko to:

— „Żeby to komu poczciwemu...! albo: „Tak mi okrutnie zapiekli w te czasy!.. a w końcu: a jak się to stanie naprawdę, to jak ja znowu będę wyglądał. Bodaj to pioruny jasne..!

— „Nie chory ty przypadkiem jesteś? zapytała nieśmiało podchodząc do niego.

— ...Słuchaj a uważaj dobrze, co ci powiem. Weźmiesz duchem zapaskę na głowę i pójdziesz mi do Płóciennikowej... no wiesz Jedrzejowej—tej krewniaczki twojej. Nie powiesz, żem ja ci kazał przyjść—niech cię Bóg broni, a tylko niby tak od siebie przychodzisz z ciekawości, jak to am u was bab we zwyczaju jest studzić gębę przy lada okazyi.

— „No i co jej powiedzieć?

— „Nie przerywaj a słuchaj — rozumiesz? Otóż wypytaj o wszystko co się dzieje u Domaziaków w chałupie, a i u Wieczorków także. No cóż tak patrzysz na mnie, jak bym tatarską mową do ciebie gadał. Przecie musisz wiedzieć...

— „O niczem nie wiem,..

— „Skaranie Boże z głupotą kobiecą! O byle czem to pleść umieją godzinami całemi ręce założywszy, a jak co naprawdę się stanie takiego, od czego się czupryna zjeży człowiekowi na łbie, to powiada, że nie słyszała nic.

— Zarzuty odnośnie do tej kobiety stawiał mąż niesłusznie, ale oczywiście był on sam pod wpływem wielkiego wzruszenia. To też, aby raz skończyć, zaczął mówić prędko, nie dopuszczając przerw i stawiania zapytań:

— „Powiem ci krótko. Tych gałganów obu ma komornik sprzedawać jutro za jakieś tam żydowskie interesa, czy djabli ich wreszcie wiedzą za co. Jak jutro nie zapłacą na godzinę, to wszystko co w chałupie i za chałupą na licytacyę, a jak nie starczy, to się i ziemi chwycą,

bo to z nimi tak. Otóż idzie o to czy oni zapłacą czy nie zapłacą. To tam przecie musi być wiadomo, bo juści jeśli im nikt nie pożyczył, albo z ziemi nie wykopali, to się cud nie stał, i koniec będzie taki, że ich sprzedać muszą. Idź-że mi zaraz i wymiarkuj wszystko. Procesowniki szel my, szachraje jedne!

— Wpół przytomna szła Stańczakowa na te zwiady. Juściż nie mogła nie iść jak on kazał,ale ździwiona była niezmiernie, bo zkąd jemu się wzięła taka ciekawość cudzego nieszczęścia, i zkąd mu się wszystkie stare krzywdy i żale przypomniały naraz. Kumać to się z żadnym z tamtych czterech nie kumał, ale gadał do nich, jak do każdego prawie z sąsiadów, i wszyscy przekonani byli we wsi, że już oddawna skończone i zapomniane te porachunki stare między nimi, a tu widać że wcale nie. Nie spodziewała się czegoś podobnego Stańczakowa po mężu.

— „Nie ma tu choćby i ten Walek taki być zawzięty, jak się na co uprze, mówiła do siebie frasobliwie, kiedy on widać ma tę krew ojcowską w sobie. Dobry z tego mojego człowiek bo dobry, ale niech Bóg broni raz go na siebie przegniewać. Czy ja myślałam na ten przykład, żeby on o tamto jeszcze był na nich markotny. Nie dosyć im chudakom tak sięprzytrafiło oto nieszczęśliwie, jeszcze zemstuje na nich. Wolałabym ja, żeby ten chłopiec był inszy, bo już ci że to nie po chrześcijańsku — to nie. W taką godzinę!

Z żalem w sercu do męża szła tedy po te wiadomości; ludzie widzieli, że nie przychodzi po to aby urągać biedzie, więc jej opowiedzieli, co i jak było, a że się tam i Domaziakowa jakoś nawinęła przypadkiem więc wątpliwości nie miała Stańczakowa żadnych.

— „No i co? zapytał jej od proga zaraz.

— „Co ma być—odpowiedziała z niechęcią. Zniszczą ludzi nieszczęśliwych ze szczętem. Obiecywał i ten i ów, ale jak zobaczyli, że się do nich bieda zakradła nie na żarty, więc się cofnął każdy, a oni zostali z długiem i ze sprzedarzą jutrzejszą. Dzisiaj, i to już nad ranem powrócił z kądciś Wieczorek, ale chcieli od niego żeby odpisał pół gospodarki, i żeby się w dodatku z chałupy wyniósł. No to i koniec, kiedy tak.

— „Jakie pół gospodarki—kiedy tam już oddawna przy nim tylko połowa została.

— „Czy ja wiem. Juściż pytałam się o to Domaziakowej samej Powiada, że się starali wiele możności, ale jak niezrobili nic dotąd, to przecież i do jutra nie zradzą.

— „A ludzie co gadają?

— „Jak ludzie zwyczajnie. Co kogo nie boli, to mu powoli. Niby to tam komu cudza bieda dokucza. Raz, że każdy ma swojej wyżej

uszu, a potem kto baczy na to, że co jest tamtemu dzisiaj to jemu samemu jutro.

Zmierzch już szary zapada; w pokoiku na plebanii, w wysokim fotelu z poręczami siedzi proboszcz Chrzczonowski, a przy drzwiach sto Makxym w takiej postawie, jak gdyby oczekiwał na rezultat przyniesionych wieści..

— „Smutno mi będzie bardzo odchodzić ztąd od was, widząc jak się wszystko chyli ku gorszemu. Krótko trwała ta ich pomyślność na własnem. Jedni niechcieli, nie umieli inni, a wszyscy razem zostawieni samym sobie nie potrawili się zastosować do nowych warunków. Nie tak widać trzeba się było rządzić na tej własności, i nie tak wyposażać dzieci. Jak pójdą na zagony, to tylu będzie nędzarzy, wielu mieszkańców we wsi. Takie trochy krajać do nieskończoności się niedają, bo w końcu tak się zrobi, że ani na tem żyć, ani umrzeć odrazu. Tak też było z nimi. Jak tu oddać dług i z czego, kiedy z tego kawałeczka na procenty nienazgarnia. Rósł, jak się pokazuje dług, dopóki nie urosł, no a żyd też nie od tego jest, żeby folgował. Nie myślałem żeby tak wcześnie zakraść się miała do nich bieda, i jaka bieda jeszcze — taka bez ratunku żadnego.

— „Ratunek, to on by się może i znalazł, poszepnął nieśmiało Maksym.

— „Co ty tam gadasz! Jaki ratunek? Mnie obrała familija bliższa i dalsza tak, że te tysiąc złotych zaklęte, com na pogrzeb trzymał w schowaniu już naruszone — o mnie niema co mówić. Żebym poratował, to nie ma wątpliwości, bo jeszcze tu moje oczy nie oglądały w tym Chrzczonowie żadnych wywłaszczeń, ale cóż... sam widzisz. Wikarego sprowadzić musiałem, bom już do niczego zupełnie, trzeba się było z nim tą chudobą podzielić, i co był jeden niebogaty, to jest teraz dwóch biedaków. Dwór? Szkoda o tem mówić. Żeby tamci dwaj żyli — nie mówię, ale tak, sam rozumiesz chyba.

— „Ja też nie o Dobrodzieju i nie o dworze myślałem.

— „A o kim że?

— „Prawdę rzekłszy, to mi Stańczak chodził po głowie. Trochę ja jego probował, i albo zupełnie już zgłupiałem na starość, albo jemu się ta ich bieda czepiła do serca. Ja nie wiem czy on ma tyle, ale tak mi się widzi, że chyba ma... Tylko znowu jak sobie wspomnę na to, że oni jego wtedy tak oszwabili, to śmiałość mię odchodzi wprost się do niego odezwać. Ba! żeby nie to, jabym już był z nim napoczął wprost. A tu nie ma czasu do stracenia, ale mnie się zawsze widzi, że on się ruszy, bo okrutnie sumował jakiem mu to wszystko opowiadał. To nie

byle kto jest ten Stańczak—jeśli Dobrodziej pamięta, to ja zawsze tak o nim trzymałem...

— „Nie przeczę i ja, że on jest bardzo wiele wart, ale widzisz, taka rzecz to jużby przeszła zwyczajną miarę uczciwości. Tego każdy dobry człowiek nie zrobi. Ja wiem, że on by był w stanie dopomódz, a nawet to ci powiem, że ja jeden wiem na pewno iż tak jest, ale jak go zaczepić? Taki uczynek, to musi wyjść z wnętrza człowieka; takie myśli to pan Bóg daje, wybranym swoim po długiem uczciwem życiu. Krwawo zapracowany grosz z trudnością się narusza, a obrócić go na poratowanie nieprzyjaciela, to nic byle kto potrafi. Jużciż to są jego krzywdziciele — inaczej trudno powiedzieć.

— „Stańczak! zawołał w tej chwili spojrzawszy w okno Maksym, a zbierajac kij wraz z czapką szepnął na odejściu: Jak on stąd odejdzie, to ja jeszczo wpadnę na chwilę. Żeby ja się znowu aż tak bardzo na ludziach miał mylić, to by już źle było ze mną, mówił uśmiechając się do siebie stary włóczęga.

W godzinę jakąś, kiedy Maksym wszedł do skromnego, pokoiku proboszcza, zastał już starca samego, milczącego, i tak jakoś poważnie nastrojonego, że się nie tylko nie odważył rozpocząć rozmowy, ale nawet chwilowo zachwiał zupełnie w swoich dotychczasowych przypuszczeniach co do stopnia uczynności Stańczaka. Ot, nadaremnie wstawiał się widać księżysko za tamtymi, myślał Maxym. Stał też cicho w kąciku i dopiero jak ujrzał, że proboszcz odkłada na stół trzymany dotąd w ręku różaniec, nadstawił uszu zaciekawiony ale i wątpiący jeszcze.

— Razem zestarzeliśmy się, odezwał się ksiądz, ale chętnie przyznam, że lepiej odemnie czytasz w myślach ludzkich, i trafniej oceniasz do czego ktoś może być zdolny. To wyjątkowy człowiek zupełnie. Jemu tak przepełnia serce miłość do tego kawałka ziemi, że niemoże znieść na niej widoku nędzy i niedoli. Dla tej ziemi darować on gotów złe ludziom, którzy ją zamieszkują. Ah! gdyby jego zrozumieli — gdyby chcieli naśladować! Tak mię ten dziwny człowiek podniósł dzisiaj i uzdrowił swoją prawością, że sprobuję w niedzielę zwlec się z krzesła i przemówić do tego ludu raz jeszcze, choćby to być miał raz ostatni. Powiedz im to odemnie; może to będzie dobra sposobność do pożegnania się ze wszystkimi.

Prosto z probostwa powrócił Piotr Stańczak do domu, i skoro tylko wszedł, kazał Walkowi siadać na konia, żeby się dowiedział we młynie, czy jutro żyto przywieźć można do mielenia. Chciała protestować kobieta, boć wiadomo było dobrze, jaki jest przybór wody wiosennej, ale jej jednem spojrzeniem zamknął usta. Po jego odjeździe dopiero zapalił przy ogniu komina lampkę naftową, postawił ją na stole, a zasłoniwszy okno zdjętym ze ściany obrazem, tak się odezwał do żony:

— „Chłopca wyprawiłem z domu za byle czem, bo nie potrzebny był tutaj; ty siadaj i słuchaj, bo tobie o tem, co powiem, wiedzieć należy. Czy wiesz, rzekł, sięgnąwszy w zanadrze i wydobywszy z tamtąd trzy dosyć dużego rozmiaru papiery, żółtego i białego koloru zadrukowane całe — czy wiesz co to jest? Niewiesz naturalnie, to ja ci powiem. To są widz'sz, pieniądze, takie pieniądze, co same od siebie płacą procent temu który je ma; nazywają się zastawne listy. Widzisz, każdy taki papier wart sto rubli, i każdy na rok daje dochodu 5 rubli. Widzę, że chcesz się zapytać czyje one są? Najprzód Boskie, a potem moje i twoje, bo naszą wspólną pracą zarobione, a że bez krzywdy ludzkiej, może za wolą Bożą będą i Walkowe. Jakże ci się widzi—dużo tego jest?

— Aż się dziwuję, że tak dużo, i jeśli to tylko rzetelny jest pie niądz ten papier...

— O tem szkoda mówić — pewniejszego nie ma.

— Kiedyś ty to jednak zebrał, i że tak mógłeś odkładać, a nie pochwalić się przed ludźmi, a choćby i przede mną. Twardy z ciebie człowiek, dodała uśmiechając się, bo przyznać należy, że te pieniądze duże wrażenie na niej zrobiły.

— Ludzie to tam chyba coś niecoś miarkować muszą, że ja bez grosza nie jestem, ale że ja te wszystkie zmiany robiłem przez księdza, więc w oczy te pieniądze nie kłóły nikogo, a co do ciebie, nie mówiąc już o dziecku, to ja się trochę lękałem, żeby się wam w głowach nie przewróciło, i dla tego mówiłem sobie, że do czasu jakiegoś jeszcze, lepiej będzie, żeby niewiedział nikt. Ale teraz słuchaj dalej, bo ci jeszcze muszę powiedzieć co innego. Tych pieniędzy, co ci się wydało, że ich jest tak wiele tutaj na stole, dodał zbierając listy i kładąc je do kieszeni, to ja ci powiem, że ich na prawdę dwa razy więcej jeszcze zostało u księdza, ale pamiętaj, żebyś o tamtych pary z ust przed nikiem niepuściła, bo bym ci przestał wierzyć, i jużbyś do śmierci mojej nic odemnie nie usłyszała. Otóż tamta część została sobie dla was, a tą drugą trzeba poratować nieszczęśliwych. Nie darowywam, bo nie mam prawa darować waszego dobra, ale na fantowanie ludzi we Chrzczonowie pątrzećbym nie śmiał, a i Bóg sprawiedliwieby nam poskąpił błogosławieństwa, żebyśmy się rozpierali na bogactwie wtedy, kiedy koło nas przepadają tacy sami jak my. Dobrzy oni czy źli—życzliwi dla nas—czy tacy co stoją ludziomna zdradzie, to Boska sprawa nie nasza, a nasz obowiązek dopomódz. Rewers wezmę, spłaty ponaznaczam łatwe, żeby z biedy wyjść mogli, ale prowizyi żadnej nie przyjmę, bo tego biedak taki zapłacić niepotrafi. A teraz powiedz mi jedno. ale powiedz na sumienie—tak jak na spowiedzi Świętej, czy ci się to co robię udaje, czy nie?

— Za całą odpowiedź Stańczakowa pochyliła się do jego ręki, a potem wstała i odeszła do komina. fartuchem ocierając oczy.

— To, dobrze, wolę że nic nie mówisz, bo czuję bez tego co masz w sercu, a jak co przez usta nie przechodzi to zawsze pewniejsze. Jak mnie nie będzie tutaj, ucz chłopca, żeby nigdy nie miał twardej zawziętości na ludzkie grzechy, bo z takim sobkiem ludziom bieda tylko na świecie, a i sami oni szczęścia nie użyją. Napracował się człowiek bo napracował, ale żeby kto wiedział, jaki ja dzisiaj zapłacony za tamto wszystkó razem, toby zrozumiał po co Bóg pracę przykazał człowiekowi grzesznemu.

W tej chwili wszedł do izby Walek, i zaraz przy drzwiach wzięła go za rękę matka,.a przyprowadziwszy przed Ojca, powiedzieła mu wzruszonym głosem.

— Usciśnij Ojcu nogi dziecko. bo ty nie wiesz nawet, kto jest ten twój Ojciec. A Bogu przy pacierzu każdym dziękuj, że ci się z takiego człowieka dał urodzić na świat.

Walek słuchał bez zdziwienia tych słów, bo choć tym razem nie wiedział o co chodzi, miał jednak takie wewnętrzne przeświadczenie, że doskonalszego człowieka od jego ojca być nie może.

Nazajutrz zaroiło się we Chrzczonowie z samego rana od żydoštwa i wszelkiego rodzaju spekulantów na cudzą biedę. Zleciały się te kruki gromadnie, a kiedy w południe zjechał komornik i zamiast rozpocząć licytacyę, zamknął się w chałupie Stańczaka z Domaziakiem, Wieczorkiem i żydami wierzycielami, niecierpliwość zapanowała powszechna między tymi, co sobie na nieszczęściu ludzkiem założyli zarobek. Po małej półgodzinie wyszedł przed chałupę Maksym, i donośnym głosem zapowiedział:

— Niech wam się apetyt po kościach rozejdzie, moje majstry kochane! Dzisiaj musicie poprzestać na oblizaniu łapy, a do drugich takich obłowów życzę wam z duszy, żebyście pokręcili karki co do jednego.

Ogólnem, rozumie się niezadowoleniem z jednej a śmiechem z drugiej strony przyjęto tę mowę improwizowanego woźnego. W pół godziny po tem, sama tylko Chrzczonowska gromada stała przed Stańczakową chatą, a Maksym raz jeszcze odezwał się do ludzi, ukazując im ten tłum czarny, rozpierzchający się powoli na gościńcu:

— Patrzajcie, to tak na podobieństwo tego rozłażącego się robactwa odeszły by od nas wszystkie biedy i nieszczęścia, gdybyśmy raz zrozumieli naprawdę, co to za moc jest w tych słowach: *Jeden za wszystkich—wszyscy za jednego.*

A w nadchodzącą niedzielę ukazał się, po roku z górą nieobecności na ambonie, raz jeszcze sędziwy proboszcz Chrzczonowski. Dziwili się ludzie, że tak zbielała mu głowa, przygarbiły ra-

miona, że tak się wyraźnie pochylił do grobu, a jeszcze bardziej dziwno im było, że taki miał dzisiaj głos silny jak niegdyś, mimo tej zgrzybiałości swojej. Dopiero jak im zaczął mówić o wielkiej miłości jaką ludziom zalecił Chrystus, jak od tej miłości przeszedł do ogromnego ukochania, jakie winien każdy tej matce żywicielce swojej, jak opowiedział, kto ją miłuje i ochrania, a kto w poniewierkę podaje, tajały serca ludzkie jako śniegi od wiosennego słońca, i choć tam ani słowa nie było o utracie mienia, jakiem zagrożony był Wieczorek i Domaziak, ani o szlachetnem postąpieniu Stańczaka z tymi dwoma nieprzyjaciółmi jego, wiedział każdy, że to właśnie ten wypadek natchnął taką wymową poczciwego księdza. Zalecał im bratnią miłość, zaklinał, aby lekkomyślnie nie opuszczali ziemi, żegnał i błogosławił!

W niespełna dwa tygodnie zakończył w istocie pięćdziesięciokilkoletnie trudy swoje nieprzerwane, jako stróż sumień i nauczający nietylko słowem, ale i przykładem, ten wzorowy prawdziwie Sługa Chrystusowy.



Nowiny z Częstochowy.

Zakończenie Roku Jubileuszowego. Ze wszystkich stron kraju nadchodzą wieści o zakończeniu Roku Jubileuszowego. Rok to był wielki, rok obfitości łask i błogosławieństw, udzielonych wyznawcom Wiary Rzymsko-Katolickiej przez namiestnika Chrystusowego na ziemi. Rok taki powtórzy się dopiero za lat sto.

Tym, którzy mimo chęci skorzystać z owych łask nie mogli, Bóg Miłosierny chęci te policzy... Ci zaś, którzy pomimo wszelką możność, nie chcieli z nich korzystać, niechaj się zastanowią, czy dobrze uczynili i czy nie zaniechali przez to jedynej może sposobności w życiu ku otrzymaniu od Boga łaski, prowadzącej do odmiany grzesznego ich żywota, a zatem i do szczęścia wiecznego i jedynego. Za tymi niechaj wierni wzniosą modły do Tego, Który najzatwardzialsze serce odmienić i ku Sobie nawrócić potrafi.

Zakończenie Roku Jubileuszowego odbyło się na Jasnej-Górze uroczyście w dniu 16 listopada r. b. Sumę przy dźwiękach kapeli klasztornej odprawił kustosz klasztoru, wielebny O. Mikołaj Paulin. Kazanie głosił O. Alfons.

Po raz pierwszy od lat dwóch O. Alfons przemówił w dniu tym z ambony. Przemówił, jak dawniej zwykł był przemawiać: rzewnie, z uczuciem a siłą. Płacz ludu, zgromadzonego w kościele, zaświadczył wymownie o skutecznej żarliwości tłumacza Słowa Bożego.

Kompania z Sosnowca. Tam, gdzie praca wśród pieców ogniem ziejących albo w podziemiach kopalń co chwila grozi pracownikom kalectwem albo i śmiercią nawet; tam, gdzie zgubne przykłady i uciechy bezbożne najbardziej nęcą spracowanych ludzi pozorną swoją rozkoszą, narażając ich przytem na utratę obyczajności i wiary, — tam właśnie najbardziej potrzebną jest ludziom opieka i pomoc Boga i Matki Jego,

Niepokalanej Dziewicy. Takiem miejscem w kraju naszym jest między innemi Sosnowiec.

Liczna też kompania pobożnych z proboszczem ks. Milbertem na czele przybyła stamtąd na Jasną-Górę do Maryi po łaskę, pomoc i opiekę.

Aż oto ujrzeli Cudowne Oblicze... Klękli tedy i modlili się żarliwie za siebie, za blizkich, za tych, co w domu zostali. Kapłan we Mszy Ś-tej polecał te modły Maryi... I kto wie? Tam, skąd przybyli ci pobożni, może w tej właśnie chwili Najtroskliwsza Matka usuwała z nad głowy górnika złom, który go miał zabić?... Może od śmierci ratowała dzieciom ojca, żonie — męża, rodzicom — jedynego syna!... Nie znamy wszak niebezpieczeństw, które nam grożą, a które Miłość Tej Matki na zawsze od nas oddala.—Boć nie naprózno przybyły tu do Niej dziatki...

A byli między niemi i tacy, którzy z najdalszych stron kraju pochodzą i nawet nie znają się nawzajem. Wszystkich zaś połączyło i na Jasną-Górę przywiodło jedno uczucie — Miłość ku Matce Bożej.

O, niechże ta łączność nie zrywa się z chwilą powrotu ze świętego miejsca! Niechaj modlitwa często, często skupia ich w jedną pobożną gromadę... I niechaj ludzie choć wtedy prawdziwie czują się między sobą braćmi, kiedy wspólnie w modlitwie wyciągają ręce do Jedynego Ojca i do jednej Matki w niebiesiech.

Poświęcenie sztandaru. W dniu 10 listopada w kościele Jasnogórskim w kaplicy Matki Boskiej ks. Przeor klasztoru odprawił Mszę świętą na intencyą miejscowej straży ogniowej, która obchodziła 30-tą rocznicę swego istnienia. Podczas Mszy Ś-tej śpiewała miejscowa „Lutnia“. Po skończonej Mszy nastąpiło poświęcenie sztandaru, poczem celebrans przemówił do szczelnie zapełniających kaplicę członków straży, przypominając ich poświęcenie, z jakiem bronili kościoła Jasnogórskiego, podczas smutnej pamięci pożaru w roku zeszłym.

Kompania z Borowna. W miesiącu wrześniu r. b. przybyła na Jasną-Górę kompania z Borowna, powiatu Nowo-Radomskiego, w liczbie około 1000 osób. Prowadził kompanią czcigodny ksiądz proboszcz Snowadzki wraz z wikaryuszem księdzem Drzymałą. Spokój, porządek i nastrój uroczysty panował w szeregach przybyłych pątników. Znać było z zachowania się ich wpływ gorliwego kapłana—proboszcza, który, choć nie dawno objął pasterstwo nad tą parafią, a już umiał pozyskać sobie szacunek i przywiązanie parafian, dzięki swej gorliwości o chwałę Bożą, a także dobroci i uprzejmości dla wszystkich, w połączeniu z wyższością umysłową.



Kompania z Sosnowca u stóp Jasnej-Góry.

Ofiarność Warszawian. Dziewięciu Warszawian, członków cechu rzeźniczego ofiarowało do kościoła w Dobrzyniu nad Wisłą piękny żyrandol w cenie kilkuset rubli. Zacni Warszawianie w ten sposób szlachetny okazali swą wdzięczność miejscowemu duchowieństwu za serdeczne przyjęcie, jakiego doznają, ilekroć przechodzą przez Dobrzyń, dążąc w pobożnej pielgrzymce na odpust do Skępego. Gorliwy kapłan ks. Straszyński wychodzi zawsze uroczyście na spotkanie kompanij, przemawia do nich serdecznie, czem zjednał sobie serca wszystkich pielgrzymów.

Kompanie przybyłe na Jasną-Górę.

1. 27 sierpnia, z parafii Renczno, powiatu Wieluńskiego — 480 ludzi przybyło z ks. Wawrzyńcem Kowalskim.
2. 27 sierpnia, z parafii Targoszyce, powiatu Będzińskiego — 590 osób przybyło z muzyką.
3. 27 sierpnia, z parafii Borzykowa, powiatu Noworadomskiego — 720 osób z ks. Ignacym Zielińskim.
4. 27 sierpnia, z parafii Kamińsk, powiatu Piotrkowskiego — 850 osób z ks. dziekanem Ign. Jankowskim i z muzyką.
5. 27 sierpnia, z parafii Suchcice, powiatu Piotrkowskiego — 110 osob z przewodnikiem Bartłomiejem Michalskim.
6. 27 sierpnia, z parafii Będzin — 1200 osób z ks. Franciszkiem Pynkiewiczem i z muzyką.
7. 27 sierpnia, z parafii Rosprza, powiatu Piotrkowskiego — 400 osób z ks. Janem Łabędą.
8. 27 sierpnia, z parafii Konstantynów, powiatu Łódzkiego — 350 osób z ks. Aleksandrem Volkmer i z muzyką.
9. 27 sierpnia, z parafii Włoszczowa — 280 osób z ks. Stanisławem Jezierskim i z muzyką.
10. 28 sierpnia, z parafii Czarnocin, powiatu Pinczowskiego — 51 osób z przewodnikiem Janem Mazurem.
11. 28 sierpnia, z parafii Bankowa Góra, powiatu Noworadomskiego — 220 osób z ks. Kazimierzem Arwarem.
12. 28 sierpnia, z parafii Secemin, powiatu Włoszczowskiego — 420 osób z ks. Edw. Bieleckim.
13. 28 sierpnia, z parafii Srocko, powiatu Piotrkowskiego — 410 osób z ks. Bol. Kowalewskim.
14. 28 sierpnia, z parafii Silwierz, powiatu Będzińskiego — 1700 osób z przewodnikiem Ign. Dziekciarczykiem.
15. 28 sierpnia, z parafii Kisów, powiatu Radomskiego — 50 osób z przewodnikiem Fr. Jakubek.

16. 28 sierpnia, z parafii Medzierża, powiatu Końskiego — 300 osób z przewodnikiem Piotrem Kwietniem.
17. 28 sierpnia, z parafii Zderbin, powiatu Kaliskiego—30 osób z przewodnikiem Marcinem Jarema.
18. 28 sierpnia, z parafii Pabijanice, powiatu Łaskiego — 800 osób z ks. Stan. Lipskim i z muzyką.
19. 28 sierpnia, z parafii Węgleszyn, powiatu Jędrzejowskiego — 380 osób z ks. Pawłem Jędrzejewskim.
20. 28 sierpnia, z parafii Kamieniec, powiatu Sieradzkiego — 75 osób z przewodnikiem Ign. Kubickim.
21. 28 sierpnia, z parafii Oleszno, powiatu Włoszczowskiego—460 osób z ks. Edw. Wójcickiem.
22. 28 sierpnia, z parafii Lipa, powiatu Końskiego — 310 osób z ks. Waleryanem Dłużynek.
23. 28 sierpnia, z parafii Wiślica, powiatu Pińczowskiego — 280 osób z przewodnikiem L. Goleniewskim.
24. 28 sierpnia, z parafii Bogdanów, powiatu Piotrkowskiego—600 osób z ks. Tadeuszem Mądrzyckim.
25. 30 sierpnia, z parafii Mnichów, powiatu Jędrzejewskiego—310 osób z ks. Michałem Borkowskim.
26. 30 sierpnia, z parafii Korzkiew, powiatu Olkuskiego — 290 osób z ks. Józefem Laterem.
27. 30 sierpnia, z parafii Przybyłowice, pow. Pińczowskiego—110 osób z przewodnikiem Janem Przeniosło.
28. 30 sierpnia, z parafii Kościelec, powiatu Kolskiego — 150 osób z przewodnikiem Szymonem Binek.
29. z parafii Kobiele Wielkie, powiatu Noworadomskiego — 410 osób z przewodnikiem Mich. Czuczurą.
30. 30 sierpnia, z parafii Łopuszno, powiatu Kieleckiego — 495 osób z przewodnikiem Pawłem Mrowińskim.
31. 30 sierpnia, z parafii Zduńska Wola, pow. Sieradzkiego—790 osób z przewodnikiem T. Czapskim i z muzyką.
32. 30 sierpnia, z parafii Pączniew, powiatu Tureckiego — 160 osób z przewodnikiem Lucyanem Marczakiem.



Nowiny z daleka i z blizka.

Nowy rektor akademii duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu. Ksiądz Longin Żarnowiecki, prałat kapituły łuckiej i żytomierskiej, rektor akademii duchownej w Petersburgu, urodził się w roku 1842, w gub. Wołyńskiej, w okolicy Krzemieńca. Nauki teologiczne pobierał w seminaryum żytomierskiem i w akademii petersburgskiej, którą ukończył ze stopniem Magistra. Wyświęcony na kapłana w r. 1866. Mianowany niebawem profesorem historyi kościelnej przy seminaryum żytomierskiem, przy którem był też kapelanem (ojcem duchownym).

W r. 1874 wyjeżdża do Monasterzysk (gub. kijowska, dekanat humański) gdzie zostaje proboszczem i dziekanem humańskim na stanowisku proboszcza monasterzyskiego. W r. 1898 powołany do kapituły łuckiej i żytomierskiej przez ś. p. Biskupa Lubowidzkiego i obejmuje powtórnie posadę kapelana przy seminaryum, oraz profesora łaciny.

Zrazu kanonik katedralny, potem prałat katedralny i asesor w konsystorzu. W roku bieżącym powołany został na rektora akademii duchownej w Petersburgu. Jest to znakomity znawca języka łacińskiego, przytem słynny liturgista. Niejednokrotnie artykuły tego zasłużonego męża nauki pojawiały się w „Przeglądzie katolickiem". Obecnie znajduje się pod prasą dzieło jego o historyi i technice hafciarstwa kościelnego, które badał bardzo gruntownie w kraju i za granicą. W ogóle paramentyka kościelna jest specyalnością czcigodnego księdza rektora i całą duszą oddany jest tej nauce, uważając to za swój obowiązek, w przekonaniu, że dział ten liturgiczny w wielkim znajduje się upadku. Będąc proboszczem, kościół swój utrzymywał wzorowo. Piszący te słowa, sam widział przed ośmiu laty w Monasterzyskach wzorowe urządzenie kościoła ze ścisłem zachowaniem przepisów kościelnych, i śliczną zakrystyę: szafy stylowe, doskonale urządzone, i t. p. Jako proboszcz, czcigodny ten kapłan i dostojnik kościoła odznaczał się gorliwością, był znakomitym katechetą i wiele dobrego dla parafian uczynił. Życie prowadzi nadzwyczaj skro-

mne i ascetyczne, za to nie szczędzi grosza, gdy idzie o sprawienie pięknych, artystycznych, stylowych i ściśle liturgicznych sprzętów i paramentów kościelnych. Ten wielkiej nauki kapłan, natchniony duchem Chrystusowym, we wszystkich wzbudza miłość i szacunek.

Ks. P. M.

Do podanego życiorysu z przyjemnością dołączamy garstkę wspomnień pewnej osoby, która miała sposobność widzieć i poznać osobiście Dostojnego Rektora akademii duchownej. Podajemy je tak, jak słyszeliśmy:

— „W roku 1896, wracając z głębokiej Rosyi, skierowałem drogę na Kijów. Ztąd umyślnie zboczyłem do Humania w zamiarze zwiedzenia słynnej z opisów Zofiówki. Przy okazyi obejrzałem także dokładnie bardzo pięknie utrzymany kościół w Humaniu. Towarzyszył mi w tych wycieczkach po Humaniu kapelan miejscowy ks. P. Widząc moje zainteresowanie i prawdziwą przyjemność, z jaką wszystkie osobliwości oglądałem, poddał mi projekt zapoznania się z największą osobliwością okolicy—Kościołem i Czcigodnym Dziekanem w Monasterzyskach. Propozycyę przyjąłem z wdzięcznością.

Do Monasterzysk przybyłem w sobotę, podczas odprawiających się w kościele nieszporów. Udaję się tam naprzód i odrazu uderza mnie dziwnie miła a poważna postać kapłana, w asyście, jak mi się zrazu zdawało, trzech przykładnie usługujących kleryków. Po wyjściu dopiero z kościoła poznałem błąd swój i złudzenie — było to trzech dorodnych parobczaków, których jednak zdołał ksiądz tak pięknie do posługi przygotować. Ujęty bardzo tym szczegółem i prawdziwie wzruszony przedstawiłem się Dziekanowi — mimowoli powtarzając słowa kapelana i w duchu dziękując Bogu, że mnie tu dla zbudowania się przyprowadził. Odpowiedź brzmiała krótko: — „Rad jestem z wizyty, ale należałoby zwiedzić i okoliczne kościoły — a wówczas może nasz skromny osobliwością nie wydałby się wcale.“

Oświadczyłem, że i na to kolej przyjdzie, co też, nawiasem mówiąc, we dwa lata później spełniłem, zwiedzając wskazane mi przez Dostojnego Rektora miejscowości.

Przypadek zdarzył, że jednocześnie ze mną przyjechał w odwiedziny do Czcigodnego Dziekana i pewien profesor uniwersytetu Moskiewskiego, Polak, osobistość poważna i wybitna na polu literackiem. Razem więc zwiedziliśmy kościół, zakrystyę i skarbiec, w którym przechowywały się aparaty kościelne. Dziekan sam nas oprowadzał i zwracał uwagę na rzeczy ważniejsze. Wrażenia, jakie odniosłem, nie zapomnę nigdy. Niemal snem mi się wydaje to, com widział. Pomimo że parafia w Monasterzyskach nie jest liczna, świątynia jednak ozdobiona imponująco i czysta była idealnie. Wszystko stylowe i w myśl



Ksiądz Longin Żarnowiecki,
rektor akademii duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu.

Kościoła świętego wykonane i urządzone. Szczególniej jednak uderzyło mnie bogactwo aparatów i naczyń kościelnych w zakrystyi, obstawionej bardzo gustownie szafami z dębu czarnego. Ks. Dziekan wszystko tłómaczył, wskazywał i objaśniał. Zrozumiałem wówczas dopiero, że nasze zachwyty i pochwały nad materyami i wykonaniem ubiorów kościelnych często nieuzasadnione i wprost fałszywe bywają — bo najzupełniej czasem niezgodne z tradycyą kościelną.

Była to lekcya poglądowa, którą ksiądz Dziekan odbył z nami. A jakaż była wszystkiego obfitość! Ornaty, dalmatyki, kapy posegregowane na dni zwyczajne, oraz święta mniej i więcej uroczyste. A jakie kielichy, puszki, a wszystko misternie wykonane i grubo w ogniu złocone!

Wyszedłem z kościoła zdumiony i zapytywałem w duchu, zkąd też starczy funduszów na to wszystko? Myśl ta gnębiła mnie formalnie, a nie miałem odwagi wprost się zapytać.

Wkrótce jednak zagadkę tę rozwiązałem.

Po miłej przechadzce w oryginalnie urządzonym ogródku przy plebanii, zaprosił nas ksiądz Dziekan do mieszkania. Mieszkanko było czyste, ale ubogie, nic coby mogło być zbyteczne, nic dla oka ludzkiego.

Prawdziwe mieszkanie kapłana. Obiad i kolacya skromne nad wyraz bez żadnych dodatków, napojów i delikatesów. Służba w kuchni, na dziedzińcu i w całej plebanii tylko męzka. Po długiej a serdecznej rozmowie, której nigdy nie zapomnę, odjechaliśmy pokrzepieni na duchu i pełni miłych wrażeń.

W drodze do kolei mimowoli weszliśmy w pogadankę na temat, który widać przepełnił nas obu,—„Czy i Pan Dobrodziej podziwia, zkąd ksiądz Dziekan ma tyle funduszu, że tak bogato przyozdobić mógł cały swój kościół? — „Jakto, — odpowie mi zagadniony — czyż trudno było zauważyć, jak skromnie żyje ksiądz Dziekan i jak swoje przyjęcia urządza?“

— „I owszem, widziałem i to mnie bardzo zachwyciło“.

— „A więc kto na siebie i na gości tyle co ksiądz Dziekan wydaje, a Kościół ukochał i dla Chwały Bożej żyje, zawsze znajdzie dość grosza na przyozdobienie Domu Pańskiego.”

Wzruszony ścisnąłem rękę mojego towarzysza, dziękując, że mi odpowiedź wyjął niejako z serca.

Tak, przyjęcie było bez żadnego wykwintu, dom ubogi, ale serce i umysł roztoczyły przed nami całe swoje bogactwo i wszystkie powaby.

Cieszę się niewypowiedzianie wraz z innymi, którzy znają bliżej Czcigodnego księdza Żarnowieckiego, że taki kapłan i człowiek stanął na czele naszej ukochanej Alma-Mater.

Hakatyści. Pomimo, że osławiony, a rozgłośny „Kulturkampf“, od wielu już lat na pozór należy do wspomnień, które w historyi państwa niemieckiego, szczególniej zaś Prus, bynajmniej nie zajmą pięknej karty — w W. Ks. Poznańskiem toczy się on ustawicznie, wybuchając niejednokrotnie z taką siłą, że wobec nowych ciągle wypadków, bledną wszystkie czyny „kulturkampfowe“. Nie różami zasłany żywot ma też Najdostojniejszy Purpurat Jego Eminencya ks. Floryan Stablewski, arcybiskup gnieźnieński i poznański. Pierwszy lepszy pismak pierwszego lepszego świstka hakatystycznego pozwala sobie drwić z tego Księcia Kościoła, omija najskrupulatniej przynależne tak wysokiemu stanowisku tytuły, o Jego Eminencyi wyrażając się systematycznie, nie „ksiądz doktor“ bodaj, ale „pan von Stablewski“, na każdym kroku czyni aluzye do tego, że zrobiono błąd wielki, do pałacu na Śródce wprowadzając męża pochodzenia nie niemieckiego. Ksiądz Arcybiskup wszystkie wycieczki i złośliwości zbywa uśmiechem pogardliwym i z niewzruszonym spokojem steruje nawą Kościoła Katolickiego w W. Ks. Poznańskiem. A spokoju tego potrzeba zaiste, ażeby wśród szalejącej nawały utrzymać łódź i zachować ją od rozbicia. Na szczęście zasady Wiary Świętej i niezmierne przywiązanie do Kościoła cechowało z dawien dawna i cechuje Poznańczyków. Szczególniej w dniach ciężkich, w dniach próby ogniowej wykazują mieszkańcy t. zw. „Kresów wschodnich“ tyle ducha męzkiego, że Jego Eminencya przynajmniej z tej strony jest zupełnie zabezpieczony. Co więcej jeszcze znaczy, to że Poznańczycy są karni i zwartym idą szeregiem, gdy chodzi o obronę najświętszych praw każdego człowieka. Arcypasterz gnieźnieński i poznański wie, że ustawiczne zaczepki Hakatystów mogłyby wyprowadzić ludzi nierozważnych, wartogłowych i lekkomyślnych z równowagi, tak zawsze potrzebnej. Jako mądry polityk, patrzący dalej, aniżeli niejeden z zbyt krewkich publicystów, J. E. Ks. dr. Stablewski przewiduje skutki, mogące wypłynąć z przekroczenia granic obrony legalnej. „Bronić się—zdaje się mówić Książę Kościoła w każdym liście do wiernych — ale bronić się środkami, wskazanemi przez prawo ogólnie obowiązujące“.

Tego głosu Poznańczycy słuchają i daj Boże! ażeby słuchali zawsze. Kiedy jedno z pism poznańskich żydowsko-niemieckich poważyło się obraz Przenajświętszej Dziewicy, Matki Boskiej, obraz, do którego setki tysięcy pielgrzymują z stron najdalszych corocznie, nazwać „ordynaryjnym bohomazem“, wówczas nie krzyczano, nie piorunowano w W. Ks. Poznańskiem, ale bluźniercę powołano przed kratki sądowe. Owym „bohomazem“ śmiał czupurny hakatysta mianować cudami słynny obraz na Jasnej-Górze!

I po raz drugi nie wyszli wierni z równowagi, chociaż obelga cięższą jeszcze była i najwidoczniejszą prowokacya.

W miasteczku Dobrzycy, proboszcz miejscowy, czcigodny ks. Niziński, jak to się zresztą zwykło dziać wszędzie, osobliwie w kościele przygotowywał dzieci do Spowiedzi i Komunii świętej. Rodzice z wdzięcznością patrzyli na gorliwość kapłana, który nie żałował pracy, ażeby młodym latoroślom zaszczepić naukę katechizmu i umacniać je w wierze. Postępowanie takie nie podobało się radcy ziemiańskiemu (landratowi), niejakiemu Brandenburgowi, który, będąc czynnym członkiem stowarzyszenia o trzech literach „H. K. T.“ postanowił wykazać gorliwość swoją. Obdarzony instynktami wyżlemi, p. Brandenburg nie chciał uwierzyć, ażeby szanowny ks. Niziński poprzestawał jedynie na nauce katechizmu. Byłoby to zbyt niewinne! W głowie się przeto pomieścić nie mogło hakatyście takie gorliwe wypełnianie obowiązków kapłańskich. Wyrozumował sobie zatem, że Ks. N. pod pozorem nauk religijnych prowadzi naukę czytania i pisania po polsku, że może nawet wspomina to i owo z historyi i literatury. Jakże wszelako wpaść na trop, gdy przesłuchiwane dzieci nie stwierdziły tych posądzeń, a ks. Niziński ani dba o pogróżki i nie przerywa swych zajęć.

Ale dla buty i zaciekłości krzyżackiej nie ma przeszkód. Pewnego dnia p. Brandenburg, zabrawszy z sobą podkomendnych żandarmów, wtargnął do kościoła w Dobrzycy, a nie zważając na protest ks. Nizińskiego, który oświadczył, że bez pozwolenia prokuratora nikomu nie wolno przekraczać progów zamkniętej w tym czasie dla ogółu świątyni, rozpoczął gospodarkę w kościele, prawdziwie barbarzyńską. Dzieciom wyrywano książki z ręki, przeglądano skrupulatnie, indagowano malców itp. Oczywiście, że nie znaleziono nic podejrzanego. Sam jednakże fakt najścia tak brutalnego rozjątrzył do żywego mieszkańców Dobrzycy, wszędzie zresztą, w całym świecie katolickim wywołując okrzyk zgrozy.

Pomimo to nikt znów nie przekroczył granic legalnej obrony. Pana Brandenburga zaskarżono, skarga jednakże dotąd żadnego nie odniosła skutku. Sprawa nie jest skończoną, poruszą ją bowiem niezawodnie posłowie poznańscy w parlamencie niemieckim. Wygrana z tego będzie, rzecz prosta, bardzo mała. Niechajże przynajmniej świat się dowie, że „kulturkampf“, pozornie już pogrzebany, wybuchnął ze zdwojoną siłą w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.

Mała mieścina poznańska, Dobrzyca, dzięki p. Brandenburgowi stała się głośną miejscowością. Dlatego też podajemy czytelnikom naszym widok kościoła.

Spokój, równowaga duchowa, hart i wiara głęboka, która wszystkie dopusty Boże nakazuje znosić z kornem poddaniem się woli Sędziego Najwyższego, zadziwia z jednej strony, z drugiej zaś do furyi doprowadza hakatystów. Jakże oni byliby radzi, gdyby stalowy łańcuch cierpliwości zamienił się

w kruchą nitkę pajęczą! Wtedy możnaby dopiero zaśpiewać starą piosnkę o niewdzięcznikach, gotowych za „dobrodziejstwo kultury niemieckiej“ odpłacać buntem.

Tego „buntu“, „zakłócenia porządku krajowego“ i t. p. wygląda p. Kennemann i jego kompani, jak przysłowiowa kania deszczu. Najlepszym dowodem proces, jaki świeżo odbywał się w Gnieźnie. Na ławie oskarżonych zasiadło osób dwadzieścia pięć, mających odpowiadać za czyny, które prokurator p. Langer ochrzcił górnie mianem „buntu“.

Rzecz się tak miała:

W mieście powiatowem Wrześni, gdzie przez długie lata był proboszczem dzisiejszy Arcybiskup ks. dr. Floryan Stablewski, stosunki panujące w szkole miejskiej oddawna przedstawiały się smutnie. Przeważna część nauczycieli lubiła grywać w karty, przynosić z sobą do lokalu szkolnego araki i rumy, robić sobie poncze i t. p. Życiem rozpustnem odznaczał się zwłaszcza niejaki Koralewski, nauczyciel, wierzący przedewszystkiem w to, że kij jest i być powinien najlepszym środkiem pedagogicznym. Za pomocą kija wpędzał też ów Koralewski do głowy dzieciom naukę języka niemieckiego tak dobrze, że otrzymał za postępy uczniów osobną nagrodę, wynoszącą 100 marek. Ta nagroda zachęciła go do dalszej gorliwości. Oto zapragnął nawet religię w niemieckim wykładać języku, nie troszcząc się zgoła o naruszenie zasadniczych praw, sankcyonowanych przez wolę najwyższą cesarza Wilhelma II. Okłamawszy przeto rodziców twierdzeniem, jakoby sam J. E. arcybiskup zgodził się na język niemiecki, rozpoczął pewnego dnia naukę. Zdarzył się jednak nagle fakt dziwny: dzieci odmówiły odpowiedzi. Ale Koralewski nie myślał dać za wygranę. Naradziwszy się z inspektorem szkoły, p. Winterem, postanowił upór malców, od 7 do 15 lat wieku liczących, przełamać — oczywiście — kijem. Zaczęło się katowanie w dniu 20-ym maja r. b. Dzień ten zostanie w pamięci na zawsze. Z rękoma popuchniętemi, broczące krwią, wylatywały dzieci ze szkoły, głośnym płaczem wzywając ratunku. Matki, którym serce musiało się krwawić na ten widok, ujęły się też za dziećmi. Podeszły więc przed szkołę i zażądały wyjaśnień. Rzecz naturalna, że w takich chwilach mogły się odezwać tu i owdzie jakieś pogróżki, lamenty i t. p. Nie uderzono jednakże nikogo, nawet Koralewski swobodnie dostał się do domu, a kapłani miejscowi: proboszcz ks. Łabęcki i wikaryusz ks. Laskowski umyślnie wyszli na ulicę i uspokoili wzburzonych.

Rzecz dziwna, że pomimo takich faktów, ujawnionych na śledztwie, prokuratorya upatrzyła w zbiegowisku przed szkołą wrzesińską „bunt“, „zakłócenie porządku krajowego“ i t. p. I rzecz jeszcze dziwniejsza, że na ks. Laskowskiego, który tłum *uspakajał*, wskazano jako na głównego wichrzyciela.

Napróżno dzielni obrońcy, poseł dr. Dziemkowski, mecenas Woliński, a nawet innowierca adwokat Türk, wykazywali całą bezzasadność oskarżenia. Gdy już wynaleziono określenie „bunt“, trzymano się go zaciekle. Do głębi wstrząsające wrażenie sprawił też wyrok. Matkę pięciorga dzieci, Piasecką, skazano na $2^1/_2$ lat więzienia, jednego z obwinionych posłano na rok do ciężkiego więzienia, a 15-letniej dziewczynce, Dzieciuchowiczównie, przeznaczono aż dwa lata zamknięcia. Tylko dwie osoby uwolniono, resztę, t. j. 21 osób ze wszystkich sfer społecznych obarczono więzieniem, obliczonem w sumie ogólnej na lat prawie 18.

Buta i lekceważenie objawiły się na sprawie najwyraźniej w odrzuceniu listu J. E. Ks. arcybiskupa Stablewskiego. Dostojnik wystosował pismo do przewodniczącego rządu, wyświetlając sprawę. Nie uważano nawet za stosowne przeczytać listu, jak gdyby nie pochodził on od dygnitarza Kościoła katolickiego.

Proces gnieźnieński przeraził cały świat katolicki, a dla jego ofiar posypały się z dalekich nawet stron tak hojne dary, że przynajmniej niema obawy, ażeby dzieci, pozbawione matki lub żony, pozbawione głów domu musiały przymierać głodu.

Przerwijmy jednakże to pasmo smutnych faktów z W. Ks. Poznańskiego. Na zakończenie niechajże przynajmniej jeden czyn dodatni się odsłoni, czyn, wlewający otuchę do serca. Otucha zaś opanować musi, gdy się widzi, że przecież ludzie dobrej woli nie upadają na duchu. Ci ludzie dobrej woli stworzyli świeżo w Poznaniu „Gospodę Ś-go. Józefa“. Zakład, poświęcony przez J. E. Ks. Arcybiskupa, służyć ma wyłącznie dla rozrywek szlachetniejszych ubogiej ludności poznańskiej. Z wyjątkiem piwa lekkiego żadne trunki rozpalające nie są tolerowane w „Gospodzie“ natomiast znajdzie tu każdy za skromną opłatą strawę pożywną, herbatę, kawę i t. p., a przedewszystkiem znajdzie miejsce do miłej pogawędki wzajemnej nauki i t. p. Teatry amatorskie, odczyty, dość obficie zaopatrzona biblioteka, pisma nęcić też będą niezawodnie i sprawią, że wstrzemięźliwość zwolna przyjmie się wśród katolików poznańskich.

Zasługa powołania do życia „Gospody Ś-go. Józefa,“ pomieszczonej w starym gmachu po-dominikańskim, należy się przedewszystkiem czcigodnemu kapłanowi, Ks. Kłosowi. On to bowiem, zawsze ruchliwy, o dobro ogółu dbały, umiał zająć szerokie sfery poznańskie i zorganizować stały nadzór nad instytucyą, złożony z istotnie niosących swój czas i pracę pań i panien tamtejszych.

Świetną przytem wprowadzono w „Gospodzie“ inowacyę. Wiadomo, że w klasie ludzi uboższych opłata za mieszkanie nader poważną stanowi rubrykę. Dla oszczędności przeto najmują sobie ludzie ciemne, wilgotne nory, upalne poddasza lub trzy rodziny umieszczą się w jednej, izdebce. Starsze osoby, ludzie dorośli muszą radzić sobie, dzieci jednakże w rozpaczliwych

wtedy znajdują się warunkach. Gdzież one mogą odrabiać zadania szkolne? Czy na brudnym stole, czy w tym hałasie, jaki panować musi w przeludnionej norze?

O takich biednych dzieciach pomyślał właśnie ks. Kłos, przeznaczając jedną z sal w „Gospodzie Ś-go Józefa”, dla uczniów i uczennic, chcących się uczyć, a nie mogących spełnić życzeń swoich. Codziennie w godzinach przedwieczornych zastać też można kilkadziesiąt malców płci obojej, odrabiających czysto i w spokoju lekcye zadane. Nawet pomoc znajdzie tu dziecko w nauce. Dyżurujące po kolei panie poznańskie z prawdziwą miłością zwracają się do dzieci, przestrzegają, pilnują i udzielają wyjaśnien, gdy słaby umysł ucznia lub uczennicy nie może objąć przedmiotu.

Takie instytucye pożądane byłyby wszędzie. Za „Gospodę Ś-go Józefa“ w Poznaniu, należy się też Ks. Kłosowi rzetelne uznanie. *Tr.*



KOLĘDA.

Hej! w dzień narodzenia Syna jedynego,
Ojca przedwiecznego, Boga prawdziwego,
Dzisiaj wszystkich ludzi,
Jasna gwiazda budzi.
Hej! kolęda, kolęda.

Od niebios do ziemi brzmi dobra nowina,
Zakwiliła w żłóbku Niebieska Dziecina.
Więc ją jak pasterze,
Powitajmy szczerze.
Hej! kolęda, kolęda.

Żwawo zatem, żwawo pasterskimi tropy,
Dążmy duchem wszyscy do tej świętej szopy.
I w uczuciu wiary,
Ponieśmy swe dary.
Hej! kolęda, kolęda.

W ukorzeniu ducha ponieśmyż te dary:
Wszystkie dobre myśli, uczciwe zamiary,
I wdzięczność serdeczną,
Za szczęśliwość wieczną.
Hej! kolęda, kolęda.

Przyjmie Jezus, przyjmie te dary dziecięce,
I los nasz na ziemi w swoje weźmie ręce.
Więc z anielskim wtórem,
Dziś zanućmy chórem:
Hej! kolęda, kolęda.

Dalej do kościoła, wszyscy tu zebrani,
Siostry, braciszkowie, rodzice kochani,
By Panu w tej dobie,
Zaśpiewać przy żłobie:
Hej! kolęda, kolęda.

W Betleemskiej szopce w duchu stając kołem,
Maleńkiemu Zbawcy zaśpiewajmy społem,
Nućmy, bracia moi,
Jak w kantyczkach stoi:

Funda! funda! funda!
Tota risibunda!
Hej! kolęda, kolęda!

E. Lejowa.



Od Redakcyi.

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że w tomie styczniowym 1902 roku „Dzwonka Częstochowskiego“ rozpoczynamy druk cennych prac:

„DOM BOŻY A LUD BOŻY“

przez

Ks. Antoniego Brykczyńskiego.

i

„DZIEJE ILLUSTROWANE KLASZTORU JASNOGÓRSKIEGO.“



Sz. ks. P. San. w K. Staramy się, ażeby „Dzwonek Częstochowski", nie tylko treścią, ale i czystością języka zadowolił światłych czytelników. Mamy też nadzieję z czasem doprowadzić nasze pismo do możliwej doskonałości. Wszelkie uwagi i rady, zwłaszcza tak szczere i życzliwe, jak Sz. Księdza Dobrodzieja, przyjmujemy z wdzięcznością. Za życzenia serdecznie dziekujemy.

Sz. Ks. St. Man. w Lich. Słusznie Sz. Ksiądz Dobrodziej sądzi: korzyści materyalnych nie mamy na widoku, a pracę naszą podjęliśmy się ku czci Bogarodzicy i w imię dobra Kościoła Świętego. Za błogosławieństwo i modlitwę szczere „Bóg zapłać!" Z przysłanej nam pracy postaramy się skorzystać.

Sz. Ks. J. Kucharskiemu w Wiewcu. Uważamy to za dowód Łaski Bożej, iż zacni kapłani zewsząd pospieszają z wyrażeniem uznania dla naszej pracy. Słowa listu Sz. Księdza Dobrodzieja trafiają nam do serca, bo z serca pochodzą. Zachowamy je w pamięci na zawsze.

Sz. Ks. J. Zys. w Wol. Z wielką przyjemnością odczytaliśmy list Sz. Księdza Dobrodzieja. Za pamięć serdeczne: Bóg zapłać!

Sz. Panu L. R. „Słówko uznania" Sz. Pana prawdziwą sprawiło nam przyjemność. Oby każdy tak pojął i ocenił nasze dążności i zamiary, jak to Sz. Pan uczynił.

Sz. Ks. J. Grom. w Kadz. Za pamięć i starania w celu rozpowszechnienia naszego pisma składamy Sz. Księdzu Dobrodziejowi najserdeczniejsze podziękowanie. Polecamy się i nadal pamięci Sz. Księdza Dobrodzieja.

Panu J. Olsz. w Krasn. Istnieje rzeczywiście legenda, która głosi, że Oblicza Święte na obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej zostały cudownie nadprzyrodzonym sposobem odtworzone. My jednak, kreśląc historyą Obrazu Świętego, staraliśmy się trzymać źródeł pewniejszych i wiarogodniejszych w tem rozumieniu, że pominięcie tej ślicznej zresztą legendy nie ujmie czci świętemu Wizerunkowi.

Sz. Ks. Rom. Br. w Kł. Za słowa życzliwości serdecznie dziękujemy. Zlecenie Sz. Księdza Dobrodzieja zostało spełnione.

Sandomierzaninowi. Chętnie drukujemy nadsyłane nam utwory prozą lub wierszem, o ile te nadają się do naszego pisma.

J. O. Księżnie Maryi Drucko-Lubeckiej w Now. „Dzwonek Częstochowski" od początkowych tomów wysłany. Serdeczną modlitwę zanosimy do Boga za tyle życzliwości dla naszego pisma.

Sz. Ks. Oz. w Ch. Z radością witamy Sz. Ks. Dobrodzieja w gronie współpracowników. Łączmy się w pracy około dobra wspólnego. Sursum corda!

W opisach kompanij przybywających na Jasną Górę, o ile to będzie możliwe, postaramy się spełnić życzliwe rady Sz. Ks. Dobrodzieja.

Pośrednictwem w kupnie przedmiotów religijnych, chętnie służymy— byle parafianie złożyli nam dowód, że działają z zezwolenia swego proboszcza.

Sz. Ks. R. Czern. w Skotnikach. O fotografii pamiętamy — mamy nadzieję ją odnaleźć. Współczujemy żalowi Sz. Ks. Dobrodzieja; rozumiemy, jak wielkiem nieszczęściem jest dla parafii taki Prusak bezbożnik, który swem złem i gorszącem postępowaniem daje zły przykład.

Panu Wład. Dobrowolskiemu w Kaz. Wdzięczni jesteśmy Sz. Panu za jednanie nam prenumeratorów. Polecamy się nadal życzliwości. Książeczkę, o której Sz. Pan wspomina w liście, wyślemy.

Czcigodnym Księżom: Muszyńskiemu w Kunicach, Demikisowi w Tomsku, Kowalskiemu w Rząśni, Wład. Issajewiczowi w M., Księdzu Dziekanowi F. Sadowskiemu w Soch., Pani Maryi Jastrzębskiej z pod Brześcia, Lit. i Panu J. Nor. w Kamieniu — wdzięczność za pełne życzliwości słowa niezmiennie zachowamy.



Odpowiedzi od Administracyi.

Pani Florentynie K. Gleiwitz—Petersdorf. Żądane tomy „Dzwonka Częstochowskiego" wysłaliśmy pod wskazanym adresem. Prosimy dokładnie wymienić tytuł żądanej książki.

Sz. Ks. Józef J. Paulin w K. Wysłaliśmy Sz. Księdzu Dobrodziejowi dodatkowo 1-szy i 2-gi tomy „Dz. Częst." Za życzenia ksiądz Redaktor najserdeczniej dziękuje.

Sz. Ks. Żórawskiemu w R. Wymienione w liście Sz. Księdza Dobrodzieja tomy były wysłane — widocznie zaginęły na poczcie. Obecnie wysyłamy je ponownie.

Sz. Ks. J. Zubrz. w Ol. Przysłane przez Sz. Ks. Dobrodzieja 3 rs. zapisaliśmy, jako prenumeratę „Dzwonka Częstochowskiego" za czas od 1 lipca r. b. do dnia 1 kwietnia roku 1902.

Szanownego Prenumeratora z Przysieki, który odbiera „Dzwonek Częstochowski" za pośrednictwem Księdza M. Rykowskiego z Kozłowa, prosimy o przysłanie nam swego dokładnego adresu.

Ks. Klocki w Goleszynie. Wszystkie zaginione tomy wysłaliśmy powtórnie Czcig. Ks. Dobrodziejowi. Jednocześnie reklamujemy pocztę.

Ks. Prałat Skurzyński w Końskonoli. W swoim czasie wysłaliśmy wszystkie zapisane dla Czcig. Ks. Dobrodzieja egzemplarze „Dzwonka Częstochowskiego". Na skutek listu Czcig. Księdza Dobrodzieja wysłaliśmy powtórnie 2 egz. tomu III i 1 tomu IV. Przepraszamy za zwłokę w odbiorze pisma, która wynikła nie z naszej winy.

Ks. Wysokowski w Grabnie. Zlecenie Czcig. Ks. Dobr. zostało spełnione. Kwit z odbioru pieniędzy przez p. K. H. znajduje się u nas.

Ks. Apolinary Piasecki w Sołobkowicach. Zlecenie Czcig. Ks. Dobroidzeja wykonaliśmy podług przysłanych nam wskazówek. Obrazy wysłane.

W-ny Walenty Szewczyk, Podgórze, pod Krakowem. Prenumerata „Dzwonka Częstochowskiego“ w Galicyi wynosi rocznie 12 koron, półrocznie 6, kwartalnie 3. Za czas prenumeraty do 1 lipca r. 1902, wypadnie Sz. Panu dopłacić 38 kop.

Ks. Józef Zaręba w Lutocinie. Poprzednio na 2 egz. „Dzwonka Częstochowskiego“ otrzymaliśmy od Czcig. Ks. Dobrodzieja rs. 6. Następnie Czcigodny Ks. Dobrodziej nadesłał nam przekazem rs. 4 bez żadnej jednak wzmianki, na jaki cel mamy zapisać tę kwotę. Najuprzejmiej prosimy o wyjaśnienie.

Mr. Edm. Zwiardowski Superintendent St. Adalbert's cemetary - Niles Illinois. Książki wysłaliśmy Czcigodnemu Panu. Z pozostałych pieniędzy zapisaliśmy 5 rs. 62½ kop., jako prenumeratę „Dzwonka Częstochowskiego“ za czas od 1 lipca r. b. do dnia 1 października roku 1902. Na dalszą prenumeratę zostaje 77½ kop.



W Administracyi Dzwonka Częstochowskiego są do nabycia niżej wyszczególnione książki układu ks. **Grzegorza Augustynika**, prob. par. Dąbrowa-Górnicza:

1. **Porcynkuła**, książka do nabożeństwa, oprawna w skórę. . . . 1 rs. 50 kop.
2. **Upominek dla dzieci**, przystępujących pierwszy raz do Komunii Świętej . . . . — 8 kop.
3. **Przewodnik katechizmowy** dla matek i dla przysposabiających dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunii Świętej. . . . . . . — 5 kop
4. **Miesiąc październik**, czyli nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny Królowej różańca świętego . . . . — 15 kop.
5. **Nabożeństwo** do Świętego Antoniego Padewskiego . . . . — 15 kop.

SŁOWO

dziennik poświęcony sprawom politycznym, społecznym i ekonomicznym, nauce, literaturze i sztuce

wychodzący w Warszawie codziennie prócz świąt

pod redakcyą

Lucyana Wrotnowskiego.

rozpoczyna z d. 1 stycznia XXI rok swego istnienia.

Kierunek pisma i zasady jego, detalicznie znane pozostają niezmienione. Przedewszystkiem jest „SŁOWO“ dziennikiem szczerze katolickim.

„SŁOWO“ stara się o zgromadzenie w kole współpracowników swoich najwybitniejszych naszych pisarzy.

Powiększywszy w r. 1898 znacznie rozmiar „SŁOWA“, z dniem 1 października r. b., na wyrażone nam z wielu stron życzenia, zmieniliśmy **format** na poręczniejszy. Zmniejszenie **rozmiarów** nie było naszym celem. Czytelnicy nieuprzedzeni mieli już dotąd sposobność przekonania się, że treść pisma nic na zmianie formatu nie straciła.

Pozostały w każdym numerze rozumowane **artykuły wstępne, polityczne i społeczne**, dalej **korespondencye** ze stolic europejskich, **przegląd prasy polskiej i rosyjskiej, kronika prowincyonalna** i **miejscowa**, dobrze zaopatrzona, dział **sprawozdań** i obfity dział **telegramów** od korespondentów naszych i agencyj.

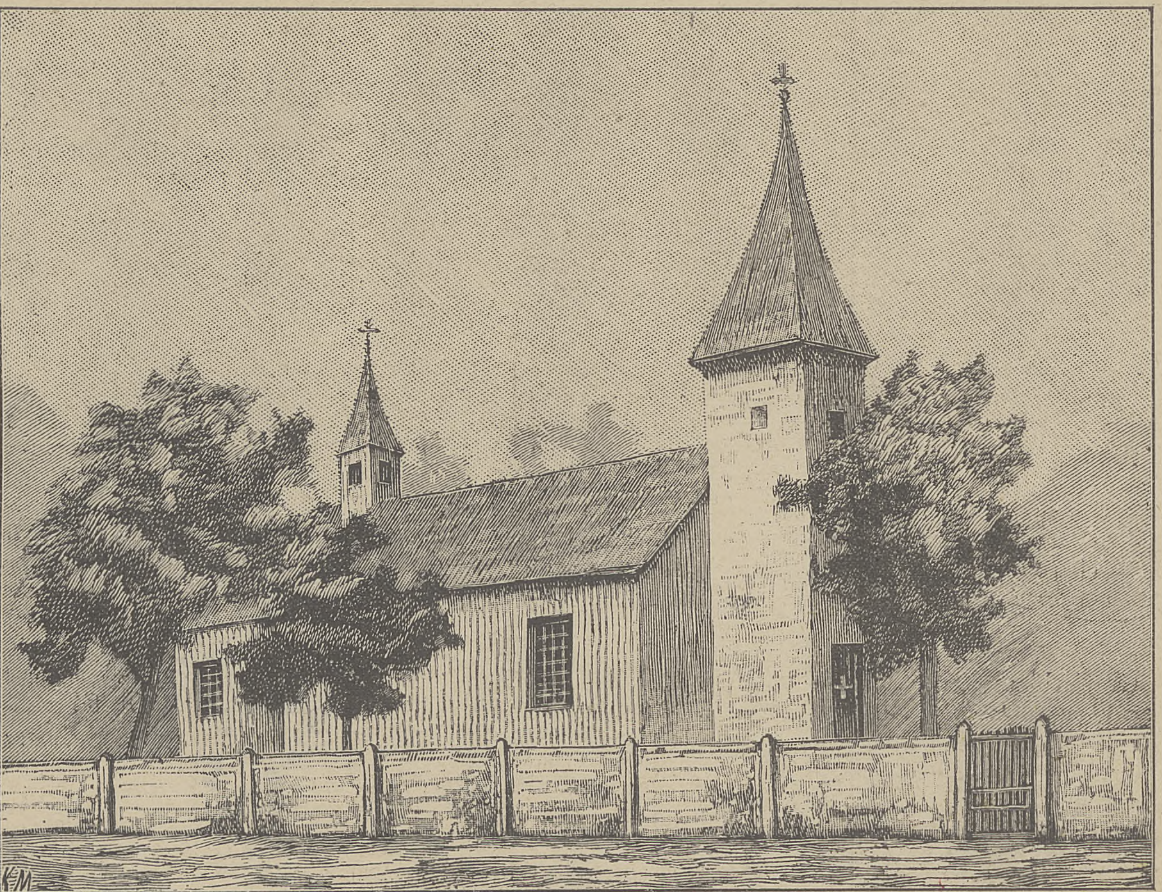
W każdym numerze znajdują się **dwa, czasem trzy feljntony,** jedne z dziedziny nauki, literatury lub sztuki, drugi powieściowy. W uzupełnieniu feljetonów, „SŁOWO“ daje co tydzień **osobny arkusz opisów podróży,** odkryć naukowych i t. p. i drugi **arkusz powieści,** przekładów najcelniejszych utworów literatury zagranicznej.

Dział ekonomiczny i sprawozdań handlowych w „SŁOWIE“ szczególnie jest rozwinięty. Oprócz artykułów, kroniki i sprawozdań codziennych, poświęca „SŁOWO“ co tydzień pół arkusza kwestyom, specyalnie rolników interesującym, **sprawozdaniom z Towarzystw rolniczych** i syndykatów, dając najdokładniejszy ze wszystkich pism obraz tak doniosłej pracy tych Towarzystw. W dziale handlowym pomieszcza „SŁOWO“ najobszerniejsze ze wszystkich pism wiadomości o wszystkich cenach płodów rolnych na decydujących rynkach, dalej wyczerpujące informacye o stanie urodzajów, o plonach i t. p. Na sprawy przemysłu i handlu, także baczną zwracamy uwagę.

Dalsze rozszerzenie programu i rozmiarów pisma zależy od koła czytelników, których do prenumeraty, względnie do odnowienia prenumeraty na rok 1902 niniejszem zapraszamy.

Redakcya „SŁOWA.“

w Warszawie.	**z przesyłką pocztową**	**Za granicą.**
rocznie . . rs. 9 k. —	rocznie . . rs. 12 k. —	rocznie . . rs. 15 k. —
półrocznie . „ 4 „ 50	półrocznie . „ 6 „ —	półrocznie . „ 7 „ 50
kwartalnie . „ 2 „ 25	kwartalnie . „ 3 „ —	kwartalnie . „ 4 „ —
miesięcznie . „ — „ 75		miesięcznie „ 1 „ 35
za odnoszenie do domu 5 k. mies.		**w Niemczech i Austryi.**



Kościół w Dobrzycy.